

Gilbert Keith Chesterton (1874-1936)

Angielski powieściopisarz, poeta, dramaturg i eseista.

Mistrz groteski, paradoksu i humoru absurdałnego.

Przeciwnik socjalizmu i agnostycyzmu.

Często polemizujący publicznie z G.B. Shawem czy H.G. Wellsem.

Zadebiutował w 1900 roku tomikiem *Błądny rycerz i inne wiersze*.

Ogółem jego twórczość obejmuje 80 książek.

Część z nich weszła na stałe do historii angielskiej i światowej literatury.

Największą sławę przyniosły mu powieści, takie jak m.in.

Napoleon z Notting Hill, *Człowiek, który był Czwartkiem* czy *Kula i krzyż*.

Jego wiersz *Lepanto* angielscy żołnierze powtarzali w okopach
podczas I wojny światowej.

W 1922 roku głośnym echem w Europie odbiła się jego konwersja
z anglikanizmu na katolicyzm.

Chesterton jako myśliciel religijny był także autorem książek
apologetycznych (np. *Ortodoksja*) jak i polemicznych (*Heretycy*).

Dał się poznać jako wielki przyjaciel naszego kraju,
wielokrotnie nazywając rozbiór Polski zbrodnią.



W serii

POWIEŚCI Z KRZYŻYKIEM

dotychczas ukazały się:

Gilbert Keith Chesterton

KULA I KRZYŻ

Gilbert Keith Chesterton

CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ CZWARTKIEM

Gilbert Keith Chesterton

PRZYGODY KSIĘDZA BROWNA



W przygotowaniu:

Gertruda von Le Fort

PAPIEŻ Z GETTA

Gilbert Keith Chesterton

Przygody księdza Brownna

FRONDA

[Kup książkę](#)

Tytuł oryginału
THE FATHER BROWN STORIES

Tłumaczenie
Tadeusz Jan Dehnel

Copyright © 2008 by FRONDA PL Sp. z o. o. Warszawa

Redakcja
Robert Jankowski

Projekt serii
Bartłomiej Kuźnicki

Grafika na okładce
Halina Kuźnicka

Opracowanie typograficzne i łamanie
PanDawer
www.pandawer.pl

ISBN 978-83-60335-63-5

Wydawca
FRONDA PL Spółka z o. o.
ul. Jana Olbrachta 94
01-102 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35
fax (22) 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.fronda.pl

Druk i oprawa
Drukarnia GS Sp. z o.o.
ul. Zabłocie 43
30-701 Kraków

Niewinność księdza Browna

LATAJĄCE GWIAZDY

Dziwnym zbiegiem okoliczności najpiękniejsze moje przestępstwo było zarazem ostatnim – mawiał Flambeau w okresie swej wysoce moralnej starości. – Stało się to w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Jako prawdziwy artysta, lubiłem zbrodnie stosowne do pory roku lub specyfikacji krajobrazu, a końcowy efekt umieszczałem troskliwie w tym właśnie ogrodzie albo na tamtym tarasie, niby rzeźbiarz dbały o właściwe otoczenie dla swojego dzieła. Byłem zdania, iż wiejskiego szlachcica najlepiej ogołocić z gotówki w przestronnej komnacie o boazeriach z dębu, Żyd zaś powinien zorientować się, że został nagle bez pensa, pośród marmurów, brązów i światła Café Riche. Gdybym uwalniał od części bogactw angielskiego kanonika (co jest sprawą mniej łatwą, niż się na pozór zdaje), pragnąłbym mieć za dekoracje szmaragdowe trawniki i stare wieże katedralne miasta. We Francji natomiast, gdyby udało mi się dobrać do kabzy bogatego i skąpego chłopa (co graniczy z niepodobieństwem), chciałbym zobaczyć jego wystraszoną minę na brunatnym tle smukłych topoli i galijskich malowniczych równin, nad którymi czuwa jeszcze podniosły duch Milleta.

...Otóż moim ostatnim popisem była zbrodnia stosowna na okres świąt Bożego Narodzenia: pogodna, dobrotliwa zbrodnia na staroświecką modłę angielskiego mieszczaństwa i Karola Dickensa. Dopuściłem się jej w solidnym, zasobnym domu w Putney;

w domu z półksiężycowym podjazdem, ze stajnią opodal, z szacownym nazwiskiem na obu bramach, z tulipanowcem pośrodku gazonu. To powinno wystarczyć, gdyż wszyscy mamy przecież takie domy z tradycjami. Moje naśladownictwo dickensowskiego stylu było, pochlebiam sobie, trafne i bardzo literackie. Niemal żałuję, że właśnie tamtego wieczoru obudził się we mnie żal za grzechy i skrusza.

Po takim wstępie Flambeau zaczynał snuć opowieści o wydarzeniach dziwnych nawet ze stanowiska aktora, a już dla widza prawie niezrozumiałych. Niestety jednak, czytelnik oglądając je musi się znaleźć przed, nie za rampą.

A zatem dramat rozpoczął się pod wieczór w drugi dzień Bożego Narodzenia, kiedy otwartą się drzwi domu (ze stajnią opodal) i na gazon (z tulipanowcem pośrodku) wyszła młoda dziewczyna, niosąc chleb dla ptaków. Dziewczyna miała ładną buzię i śmiałe piwne oczy, lecz niepodobna było ocenić jej figury, spowitej w futro tak dokładnie, że zacierała się granica między jasnobrązową sierścią a ciemnoblond włosami. Gdyby nie urodziwa twarz, osobę tę można by wziąć za małego kudłatego niedźwiadka.

Zimowe niebo czerwieniało na zachodzie i rubinowe odbłaski barwiły ogołoczone z kwiatów klomby, jak gdyby budziły na nich widma umarłych róż. Po jednej stronie domu była stajnia, po drugiej krążganek laurowego szpaleru wiódł do rozległego ogrodu w głębi. Panienska wysypała okruchy chleba (robiła to czwarty czy piąty raz od rana, bo pies wszystko zjadał) i wytuczoną laurami alejką przeszła wolno na tyły domu, gdzie bujnie rosły wiecznie zielone krzewy. Tam wydała nagle okrzyk prawdziwego lub udanego zdziwienia, bo uniósłszy wzrok zobaczyła postać ludzką, siedzącą okrakiem na bardzo wysokim ogrodowym murze.

— Och, proszę nie skakać, panie Crook! – zawołała przestraszona. — To stanowcza za wysoko!

Jeźdźcem, który dosiadał muru niby powietrznego rumaka, okazał się wysoki, kanciasty młodzieniec o ciemnych włosach ostrzyżonych na jeża, inteligentnych, ba! nawet szlachetnych rysach twarzy i dziwnie ziemistej cerze, tym bardziej rażącej przy natrętnie czerwonym krawacie. Ów krawat był bodaj jedyną częścią garderoby, do której właściciel przywiązywał jaką taką wagę. Może uważał go za symbol? Mimo życzliwej przestrogi i możliwości połamania sobie nóg młodzieniec zwinnie, niczym konik polny, zeskoczył na ścieżkę i stanął koło panienki w puszystym futrze.

— Chyba urodziłem się na włamywacza – odezwał się rzeczowym tonem – i bez wątpienia zostałbym włamywaczem, gdybym nie przyszedł na świat w tym eleganckim domu tuż obok. W każdym razie nic nie mam do zarzucenia złodziejskim metodom.

— Jak pan może pleść takie głupstwa! – zgromiła go dziewczyna.

— Głupstwa? – powtórzył młodzieniec. – Jeżeli ktoś urodził się po niewłaściwej stronie muru, wolno mu chyba przesadzić mur?

— Nigdy nie wiem, co pan za chwilę zrobi albo powie – oburzyła się znowu.

— Ja sam często nie wiem – przyznał skromnie pan Crook. – Ale teraz przynajmniej znajduję się po właściwej stronie muru.

— A którą stronę uważa pan za właściwą? – spytała z przyjemnym uśmiechem.

— Tę, po której jest pani.

Gdy młoda para szła bez pośpiechu laurowym szpalerem, trzykrotnie odezwał się donośny klakson i niebawem wspaniały, zdumiewająco szybki samochód jasnozielonej barwy przemknął jak ptak podjazdem i sapiąc zahamował przed frontowymi drzwiami.

— Patrzcie, patrzcie! – powiedział młody człowiek w czerwonym krawacie. – Ten ktoś na pewno urodził się po właściwej

stronie muru. Nie wiedziałem, że święty Mikołaj panny Adams jest taki nowoczesny.

– To mój ojciec chrzestny – wyjaśniła Ruby Adams. – Sir Leopold Fischer. Zawsze przyjeżdża do nas w drugi dzień Bożego Narodzenia. – Po krótkiej pauzie, świadczącej poniekąd o braku entuzjazmu, dodała: – Jest bardzo dobry.

John Crook, dziennikarz, słyszał naturalnie o słynnym potentacie z City; jeżeli zaś potentat z City nigdy nie słyszał o nim, nie było to winą Johna Crooka, który w swoim czasie zamieścił na łamach „Surm Nowej Ery” kilka artykułów piętnujących i chłostających sir Leopolda Fischera. Obecnie jednak dziennikarz milczał i ponuro przyglądał się długiemu i skomplikowanemu wyładunkowi ze wspaniałego pojazdu. Barczysty, elegancki szofer w zielonej liberii wyskoczył przednimi drzwiczkami, a szczupły, elegancki lokaj w popielatej liberii tylnymi. Wspólnymi siłami ustawili sir Leopolda Fischera na stopniach ganku i poczęli rozwijać go, niby zabezpieczony pakiet, ze szczególną troską. Usuwali pledy w ilości dostatecznej, by zaopatrzyć bazar, futra wszelkiego zwierza leśnego i szale we wszystkich kolorach tęczy, odstawiając stopniowo kształty zbliżone do ludzkich. Wreszcie oczom widzów ukazał się pogodny starszy dżentelmen o nieco cudzoziemskim wyglądzie, zacierający ochoczo wielkie skórzane rękawice – dżentelmen ze szpakowatą kozią bródką i uśmiechem zadowolenia na czerstwym obliczu.

Na długi czas przed zakończeniem skomplikowanych zabiegów otworzyły się oba skrzydła frontowych drzwi i na ganek wyszedł pułkownik Adams (ojciec otulonej futrem młodej damy), by osobiście wprowadzić dostojnego gościa w domowe progi. Był to wysoki, ogorzały, bardzo małomówny pan w podobnej do fezu czerwonej czapeczce, dzięki czemu wyglądał na jednego z owych Anglików, którzy w Egipcie uzyskiwali tytuły sirdara lub paszy. Gospodarzowi towarzyszył jego szwagier – pan James Blount –

przybyły niedawno z Kanady, rosły, tęg i nazbyt hałaśliwy młody ziemianin z jasnobłond brodą. Świątę uzupełniał niepozorny księżuło z pobliskiego kościoła katolickiego, gdyż nieboszczka żona pułkownika była katoliczką i dzieci (jak się często zdarza w przypadku małżeństw mieszanych) wychowane zostały w wierze matki. Niski, krępy duchowny robił wrażenie osobnika pod każdym względem pospolitego (nawet nazywał się Brown), lecz pułkownik wysoko cenił zalety towarzyskie sąsiada i często zapraszał go na uroczystości rodzinne.

W obszernym hallu znalazło się dosyć miejsca nawet dla potentata z City i jego okryć. Prawdę rzekłszy, ta część domu była nieproporcjonalnie duża w stosunku do całości i tworzyła przestronną komnatę zakończoną z jednej strony drzwiami frontowymi, z drugiej szerokimi schodami na piętro. Przed okazałym kominkiem, nad którym wisała szabla pułkownika, zdjęto z gościa resztę wierzchniej odzieży i przedstawiono mu towarzystwo, nie wyłączając nastroszonego Crooka. Szanowany finansista nie zwracał jednak uwagi na prezentację i nadal mocował się z kosztownym, dobrze skrojonym ubiorem, aby wreszcie dobyć z tylnej kieszeni żakietu owalny czarny przedmiot i wyjaśnić z promiennym uśmiechem, że to drobny upominek dla chrześniaczki. Z pyszałkowatą, rozbijającą naiwną miną pokazywał puzderko zgromadzonym i oślepił ich niemal, gdy otwarło się za pociśnięciem guziczka. Zdawać się mogło, że trysnęła nagle kryształowa fontanna. Trzy wspaniałe, jasne brylanty spoczywały niby jajka w gniazdku z pomarańczowego aksamitu i lśniły tak, jak gdyby rozsiewały dokoła blaski ognia płonącego na kominku. Fischer przyjaźnie kiwał głową i upajał się takomie zachwytem i radością panienki, cichym zdumieniem i lakonicznymi podziękowaniami pana domu i zazdrosnym podziwem reszty towarzystwa.

— Na razie schowam to, moja mała — oznajmił potentat z City i wsunął prezent do tylnej kieszeni żakietu. — Jadąc tutaj

musiałem być bardzo ostrożny. Te trzy wielkie afrykańskie diamenty nazywają się „Latające gwiazdy”, a nazwę zawdzięczają zdumiewająco częstym kradzieżom. Mają je na oku wszyscy słynni złodzieje klejnotów. Ale nie dosyć na tym. Na taki widok ręce świerzbą nawet zwyczajnych ludzi z ulicy czy hotelów. Mogłem nie dowieźć prezentu. Utracić go po drodze. To było zupełnie możliwe.

— I, moim zdaniem, zupełnie rozumiałe – rzucił opryskliwie młodzieniec w czerwonym krawacie. — Nie dziwiłbym się wcale tym zwyczajnym ludziom, gdyby wzięli świecidełka. Proszą o chleb, a nie dostają nawet kamienia; myślę więc, że wolno im brać tego rodzaju kamienie bez pytania.

— Nie chcę, żeby pan tak mówił! – zawołała żywo panna Ruby. — Zaczął pan mówić takie rzeczy dopiero wtedy, kiedy pan został tym ohydny... ohydny... No, wie pan, co mam na myśli! Jak się nazywa człowiek, który chce ścisnąć kominiarzy?

— Święty – odpowiedział ksiądz Brown.

— Sądzę, że Ruby miała raczej na myśli socjalistę – wyjaśnił sir Leopold Fischer z pobłażliwym uśmiechem.

— Radykał nie musi udzielać dobrych rad ani konserwatysta być fabrykantem konserw – obruszył się niecierpliwie pan Crook. — Podobnie socjalista nie tęskni za socjetą kominiarzy; nie chce ich ścisnąć ani spędzać z nimi wieczorów. Domaga się tylko, żeby wszystkie kominy były czyszczone i wszyscy kominiarze otrzymywali godziwą zapłatę.

— A ponadto – dodał ksiądz Brown półgłosem – nie pozwala nikomu być właścicielem sadzy z własnego komina.

Młodzieniec w czerwonym krawacie spojrzał na duchownego z zainteresowaniem i niejakim respektem.

— Czy komuś zależy na prawie własności do sadzy? – zapytał.

— Może zależy – odparł ksiądz z wyrazem zamyślenia w oczach. — Słyszałem, że ogrodnicy na coś tam jej potrzebują.

A raz w Boże Narodzenie, kiedy kuglarz zrobił zawód, uszczęśliwiłem sześcioro dzieci wyłącznie dzięki sadzom, którymi posłużyłem się do użytku zewnętrznego.

— Świetny pomysł! – Ruby klasnęła w ręce. – Niech ksiądz nas dzisiaj tak uszczęśliwi!

Rozhukany Kanadyjczyk, pan Blount, wrzaskliwie poparł siostrzenicę, a zgorszony potentat z City jął protestować niemal równie głośno, lecz w tej chwili ktoś dwukrotnie i bardzo energicznie zastukał do drzwi frontowych. Ksiądz Brown otworzył niespodziewanemu gościowi i oczom zebranych ukazał się tulipanowiec, wiecznie zielone krzewy i cały ogródek przed domem ubarwiony fioletowymi blaskami wspaniałego zachodu i kolorowy niczym teatralna dekoracja. Wszyscy oniemieli i przez czas pewien nie zwracali uwagi na stojącą u progu niepokąźną figurkę. Był to dosyć niechlujny mężczyzna w wyszarzałej kapocie – niewątpliwie poślaniec.

— Jest tu może wielmożny pan Blount? – zapytał i niepewnie wyciągnął przed siebie rękę z listem.

Kanadyjczyk przyskoczył doń, donośnie potwierdził, że jest adresatem, i rozdarłszy kopertę szybko przebiegł wzrokiem ćwiartkę papieru. Zrobił zdziwioną minę, zasępił się na moment, lecz niebawem z rozjaśnioną twarzą zwrócił się do swojego gospodarza i zarazem szwagra:

— Niewymownie mi przykro, bo mogę cię narazić na kłopot, kochany pułkowniku – powiedział z iście kolonialną galanterią – ale czy pozwolisz, że przyjmę dzisiaj dawnego znajomego? To Florian, słynny francuski akrobata, iluzjonista i komik. W swoim czasie poznałem go w Kanadzie. Jest Kanadyjczykiem pochodzenia francuskiego. Pisze, że ma do mnie pilny, ważny interes. Słowo daję, nie wyobrażam sobie jaki! Pozwolisz, kochany pułkowniku?

— Oczywiście, oczywiście – zgodził się dość obojętnie pan domu. – Twoi przyjaciele, drogi chłopcze, są moimi przyjaciółmi. Mam nadzieję, że ten pan Florian dostarczy nam miłej rozrywki.

— Myślisz, że nie zapomni o dzisiejszym święcie i przyjdzie z uczernioną gębą? Na pewno – roześmiał się pan Blount. – Może nawet przy sposobności usmaruje wszystkich sadzami. Mniejsza o to. Przepadam za staroświecką, pocziwą angielską pantomimą. Lubię, jak facet siada na cylindrze!

— Byle nie na moim! – zastrzegł się z godnością sir Leopold Fischer.

— Drobiazg – wtrącił niedbale Crook. – Nie ma się o co spierać. Znam bardziej niesmaczne kawały niż siadanie na cylindrze.

Potentatowi z City nie przypadły do gustu wywrotowe poglądy młodzieńca w czerwonym krawacie oraz jego widoczna zażyłość z piękną panną Ruby, za którą sir Leopold czuł się odpowiedzialny jako ojciec chrzestny.

— Nie wątpię, że pan zna kawały bardziej niesmaczne niż siadanie na cylindrze – przemówił suchym, prokuratorskim tonem. – Jakże mianowicie?

— Na przykład sadzanie cylindra na swojej głowie – odparł socjalista.

— Spokój! Spokój! Spokój! – zawołał kanadyjski ziemianin z dobroduszną pogodą człowieka pierwotnego. – Nie wolno psuć wesołego wieczoru! Moim zdaniem powinniśmy zorganizować jakąś miłą zabawę towarzyską. Nie będziemy smarować sadzami twarzy ani siadać na cylindrach, jeżeli to nie wszystkim odpowiada. Ale co by państwo powiedzieli na tradycyjną angielską pantomimę z błaznem, kolombiną i tak dalej? Miałem dwanaście lat, kiedy wyjechałem z Anglii. Tylko raz widziałem takie przedstawienie, ale wryło mi się w pamięć ognistymi zgłoskami. Rok temu wracam do starego kraju i dowiaduję się, że to już wyszło z mody. Nastąpiły teraz płaczliwe baśnie. Lubię patrzeć na pogrzebacze w ruchu. Lubię patrzeć, jak policjanta tłucze się na kwaśne jabłko. A tu pokazują mi książeczki moralizujące przy blasku księżyca. Nic, tylko „Błękitne ptaki” i różne takie brednie.

Bardzo odpowiada mi Błękitno- czy też Sinobrody, i to w kostiumie poliszynela.

— Opowiadał się za tłuczeniem policjanta na kwaśne jabłko – rzekł John Crook. – Takie stanowisko lepiej charakteryzuje socjalistę niż definicje, które niedawno słyszałem. Niestety, wystawienie pantomimy byłoby dla nas zbyt trudne.

— Nic podobnego! – krzyknął Blount, zapalając się coraz bardziej – Arlekinada to z dwóch powodów heca najprostsza w świecie. Po pierwsze, każdy może pleść, co mu ślina na język przyniesie. Po drugie, w gospodarstwie domowym znajdują się wszystkie rekwizyty: stół, krzesła, wałek do ciasta, kosz na bieliznę.

— Słusznie! Racja! – przyznał żywo młodzieniec w czerwonym krawacie. – Nie mam tylko pod ręką munduru. W ostatnich dniach nie zamordowałem ani jednego policjanta.

Kanadyjczyk zmarszczył czoło i spoważniał na moment. Niebawem jednak klepnął się głośno po kieszeni.

— Zrobione! – krzyknął. – Będziemy mieli mundur! Mam tu adres i telefon Floriana, a on zna przecież wszystkie wypożyczalnie kostiumów w Londynie. Zadzwońię do niego. Poproszę, żeby przywiózł mundur policyjny.

Pan Blount odwrócił się na pięcie i wybiegł, aby zatelefonować do przyjaciela. Ruby była zachwycona. Poruszała się prawie tańczącym krokiem.

— Cudownie, ojcie chrzestny, cudownie! – wołała. – Ja będę Kolombią, a ty Poliszynelem.

Ale milioner nie zmienił sztywnej, godnej postawy.

— Obawiam się, drogie dziecko – odrzekł sucho – że rolę Poliszynela będziesz musiała powierzyć komuś innemu.

Pułkownik Adams wyjął z ust cygaro, aby po raz pierwszy i ostatni zabrać głos w sprawie projektowanego widowiska.

— Jeżeli sobie życzysz, Ruby, ja mogę być Poliszynelem – powiedział.

Kanadyjczyk wrócił od telefonu rozpromieniony.

— Do roboty! – wołał. – Do roboty! Najpierw obsada. Wszyscy znajdują stosowne role. Pan Crook – błazen. Jako dziennikarz, zna wszystkie najstarsze dowcipy. Ja – arlekin. Do tego trzeba mieć tylko długie nogi i umieć skakać. Mój przyjaciel Florian zapewnił mnie przez telefon, że zdobędzie mundur policjanta. Nawet przebierze się po drodze. Przedstawienie urządzimy naturalnie tutaj, w hallu. Widzowie zajmą te szerokie schody: rząd nad rzędem, niby w amfiteatrze. Za dekorację wystarczą drzwi frontowe: zamknięte – wewnątrz angielskiego domu; otwarte – oświetlony księżycem ogród. Zmiana jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Z tymi słowy pan Blount wydobył z kieszeni zabłąkany kawałek kredy bilardowej i na posadzce nakreślił linię w połowie drogi między drzwiami a schodami. W ten sposób zaznaczył położenie rampy i miejsce przyszłej kurtyny.

Trudno dać odpowiedź na pytanie, jak zdołano przygotować w tak krótkim czasie nawet tak zaimprovizowane widowisko. Było to chyba zasługą beztroskiej przedsiębiorczości, pojawiającej się zawsze w domach, gdzie rezyduje młodość. A owej nocy młodość rezydowała i rządziła domem w Putney, chociaż nie wszyscy potrafili odczytać z dwóch rozjaśnionych twarzy, jak mocno biją dwa serca. Pomysły były iście szalone i tym osobliwsze, że należało szukać natchnienia w banalnym otoczeniu. Kolombina wyglądała uroczo w baniastej krynolinie, dziwnie podobnej do wielkiego abażuru z salonowej lampy. Błazen i Poliszynel ubielili się mąką zdobytą u kucharki, a rumieniec wymalowali różem pochodzącym od innej służącej, która jednak wołała zostać bezimienna, jak każdy prawdziwie chrześcijański ofiarodawca. Arlekin – przystrojony już srebrnym papierem z pudełek po cygarach – chciał potłuc ozdobny żyrandol i przystroić wspaniały kostium kryształami. Z trudem powstrzymano go od tego, a ustąpił dopiero wówczas, gdy Ruby wydobyła skądś fałszywe klejnoty, w których występo-

wała niegdyś na balu kostiumowym jako „Królowa Diamentów”. Prawdę mówiąc, pan James Blount, rozfiglowany niczym uczeń, przekraczał wszelkie dozwolone granice. Znienacka przystroił księdza Browna oślą głową z papieru, którą duchowny nosił cierpliwie, i wynalazł nawet jakiś sposób poruszania uszami. Na domiar złego Kanadyjczyk próbował przypiąć papierowy ośli ogon do poły żakietu sir Leopolda Fischera, lecz finansista pozbył się natręta surowym zmarszczeniem brwi.

— Wuj jest niemożliwy! – powiedziała Ruby do Crooka, wkładając mu przez głowę zaimprovizowany naszyjnik z kielbasek.
– Czemu tak szaleje?

— Jest Arlekinem przy takiej jak pani Kolombinie – odparł socjalista. – Mnie przypadła rola błazna. Będę tylko powtarzał stare dowcipy.

— Szkoda, że pan nie został Arlekinem – szepnęła panienka i odskoczyła tak nieoczekiwanie, że kielbaski na szyi Crooka rozhuśtały się gwałtownie.

Ksiądz Brown znał oczywiście wszystkie zakulisowe sekrety i dostał nawet huczne brawa, gdy przemienił poduszkę w nieodzowne do pantomimy niemowlę, lecz zajął miejsce pośród widzów na najniższym stopniu schodów i siedział ze skupioną miną dziecka przed pierwszym w życiu przedstawieniem.

Publiczności było mało: kilka osób z rodziny, służba i paru zaprzyjaźnionych sąsiadów. Sir Leopold Fischer rozparł się w fotelu ustawionym przed schodami, a że był tęgi i znów miał na sobie jakieś okrycie z futrzanym kołnierzem, zasłaniał „scenę” matemu księdzu Brownowi; nie ustalono jednak nigdy, czy duchowny wiele stracił z artystycznego punktu widzenia.

Pantomima była najzupełniej chaotyczna, lecz nie pozbawiona uroku. Ożywiał ją zapał improwizatorski, którym najsilniej tryskał błazen – John Crook. Zawsze odznaczał się bystrością i nieprzeciętną inteligencją, owego zaś wieczoru kipiał obłądną wszechwiedzą,

szaleństwem mędrszym niż wszystkie mądrości świata, a występującym często u młodego mężczyzny, który dostrzegł przed chwilą pewien określony wyraz pewnej określonej twarzy. W założeniu miał być jedynie błaznem, był jednak niemal wszystkim: autorem (o ile w ogóle autor mógł się na coś przydać), suflerem, dekoratorem, maszynistą i przede wszystkim orkiestrą. W krótkich przerwach burzliwego widowiska biegł do fortepianu i z zapalem godnym lepszej sprawy bębnił jakąś popularną melodię, która, choć idiotyczna, w danym momencie była odpowiednia.

Kulminacyjnym punktem wieczoru stała się naturalnie chwila, gdy otwały się dwuskrzydłowe drzwi i odsłoniły nie tylko piękny ogród skąpany w księżycowej poświacie, lecz również postać jedyne go zawodowego aktora, słynnego Floriana w kompletnym mundurze policyjnym. Błazen przy fortepianie rozpoczął chór pachotków miejskich z „Piratów w Penzance”, lecz huragan oklasków zagłuszył muzykę, gdyż wszystkie miny i wszystkie gesty uzdolnionego komika naśladowały do złudzenia prawdziwy sposób bycia prawdziwego sługi sprawiedliwości. Arlekin skoczył naprzeciw gościa i zdzielił go w hełm, a pianista zagrał: „Skąd masz, bracie, ten szyk kapelusik?” Florian przyjął to powitanie z doskonale udanym zdumieniem. Drugiemu ciosowi rozfikanego Arlekina akompaniowała piosenka: „Jeszcze raz! Jeszcze raz! Jeszcze raz!”, a następnie wybuchły znowu gromkie brawa, bo pan James Blount chwycił policjanta w ramiona, obalił i sam leżał na nim przez czas pewien. Z kolei francuski aktor popisał się wybornym naśladownictwem trupa, o czym do dziś dnia chodzi fama po Putney. Trudno było uwierzyć, że żywy człowiek może być tak bezwładny!

Krzepki Kanadyjczyk rzucał nim jak workiem, wymachiwał niby maczugą, a wszystkim tym popisom towarzyszyły ogłuszające dźwięki fortepianu. Kiedy Arlekin ciężko dźwigał z podłogi pocieszoną figurę, błazen grał: „Żal mi wstawać ze snu, bo marzyłem o tobie”. Kiedy brał go „na barana”, fortepian dudnił melodię:

„Pójdę w świat z tobołkiem na plecach”. Kiedy zaś Florian został rzucony na posadzkę i padł z głuchym łoskotem, szalencie przy fortepianie zagrał kilka mniej znanych taktów, w których jednak ci i owi rozpoznali śpiewki: „Szedłem na pocztę, lecz po drodze upuściłem na chodnik list do mej lubej”.

W tej właśnie chwili ostatecznego rozprzężenia i uniesienia ksiądz Brown stracił z oka dziwną scenę, bo siedzący przy nim potentat z City zerwał się nagle i nieprzytomnie zaczął zanurzać ręce kolejno we wszystkich swoich kieszeniach. Potem usiadł sapiąc groźnie, dźwignął się znowu, ruszył krok naprzód, jak gdyby chciał przestąpić nieprzebytą zaporę rampy, lecz spojrzał tylko spode łba na błazna przy fortepianie i bez słowa wybiegł truchtem z hallu.

Ksiądz Brown obserwował przez kilka minut amatorski, lecz pełen uroku taniec Arlekina nad pokonanym wrogiem, czyli doskonale udającym omdlenie zawodowym aktorem. Z instynktownym wyczuciem prawideł sztuki pan James Blount wycofał się z wolna przez szeroko otwarte drzwi ogrodu, spowitego w ciszę i blask pełni. Naiwny kostium ze srebrnego papieru i szklanych świecidełek, zbyt błyszczący w suto oświetlonym hallu, zdawał się coraz bardziej baśniowy i srebrzysty, kiedy tańcząc oddalał się i tonął w księżycowych blaskach. Zachwycona widownia klaskała znów nieprzytomnie, gdy ktoś dotknął ramienia księdza Browna i poprosił go szeptem, by zechciał się pofatygować do gabinetu pana domu.

Duchowny ruszył za służącym trochę zaniepokojony i nie uspokoił się bynajmniej w gabinecie, gdzie zastał ponuro-komiczną scenę. Pułkownik Adams siedział w fotelu. Miał jeszcze na sobie kostium Poliszynela i wygięty w pałąk fiszbin dyndał wystarczająco smutnie, by przywieść do opamiętania nawet uczestnika saturnali. Potentat z City stał oparty o półkę nad kominkiem i dyszał jak człowiek w panicznym strachu.

— Zdarzył się przykry wypadek, bardzo przykry wypadek, proszę księdza – zagaił rozmowę Poliszynel. – Brylanty, które widzieliśmy wszyscy dzisiaj po południu, zniknęły w niewytłumaczony sposób z tylnej kieszeni żakietu sir Leopolda, a ponieważ...

— Ponieważ – dokończył ksiądz Brown z pogodnym uśmiechem – ja siedziałem bezpośrednio za sir Leopoldem...

— Nikt nie wysuwał równie absurdalnych podejrzeń – przerwał z kolei pułkownik Adams i zmierzył finansistę spojrzeniem, które zdawało się mówić, że mimo wszystko absurdalne podejrzenia były wysuwane. – Chciałem jedynie prosić księdza o... o pomoc taką, jakiej mógłbym zażądać od każdego dżentelmena.

— Czyli o wywrócenie kieszeni – powiedział ksiądz Brown i zaczął udzielać pomocy demonstrując siedem szylingów i sześć pensów, bilet powrotny, mały srebrny krzyżyk, brewiarz w miniaturowym wydaniu i baton czekoladowy. Pan domu długo przyglądał się duchownemu, wreszcie znowu zabrał głos:

— Prawdę mówiąc, wolałbym zajrzeć do wnętrza głowy księdza niż do wnętrza jego kieszeni. Cóż, moja córka jest jednej z księdzem wiary. Biorę to pod uwagę... Ostatnio...

— Ostatnio – wybuchnął stary Fischer – otworzyła drzwi rodzinnego domu jakiemuś rzezimieszkowi, socjaliście, co gada publicznie, że bez skrupułów gotów okraść każdego bogacza. Czy to nie wystarczy? Znalazł bogacza! Znalazł i okradł!

— Jeżeli pan ciekaw wnętrza mojej głowy – odezwał się ksiądz Brown z lekka znudzonym tonem – może się pan z nim zapoznać i powiedzieć później, czy jest coś warte. Pierwsza prawda, jaką wygrzebałem z tej używanej kieszeni, mówi, że ktoś, kto myśli o kradzieży diamentów, nigdy nie może chwalić socjalizmu. Raczej – dodał po krótkim namyśle – będzie skłonny go potępiać.

Obydwaj słuchacze poruszyli się gwałtownie, ale ksiądz Brown spokojnie mówił dalej:

— Widzicie, panowie, znam trochę tych ludzi. Socjalista nie ukradnie klejnotu, tak jak nie ukradnie piramidy Cheopsa. Niezwłocznie musimy się zająć jedyną nieznaną nikomu osobą: tym Francuzem, Florianem, który grał rolę policjanta. Ciekawe, gdzie może być w tej chwili! Bardzo ciekawe...

Poliszynel zerwał się i szybko wyszedł z pokoju. Nastąpił antrakt, w czasie którego milioner przyglądał się księdzu, a ksiądz nie odrywał wzroku od brewiarza. Wreszcie pan domu wrócił.

— Policjant – oznajmił poważnie głosem, który zabrzmiał dziwnie staccato – wciąż jeszcze leży na scenie. Sześć razy kurtyna opadła i szła w górę. A on nic. Leży.

Ksiądz Brown wypuścił z rąk modlitewnik i przez moment spoglądał w przestrzeń tępyim wzrokiem świadczącym o zupełnej pustce umysłowej. Na koniec światło zrozumienia poczęło rozjaśniać jego szare oczy.

— Bardzo przepraszam, pułkowniku, ale kiedy umarła pańska małżonka? – zapytał na pozór bez związku.

— Moja małżonka? – zdziwił się Poliszynel. – Umarła rok i dwa miesiące temu. Jej brat, James, spóźnił się o tydzień. Już jej nie zastał.

Krępy ksiądz skoczył z miejsca niby królik.

— Prędeży! – krzyknął. – Prędeży! Trzeba zaraz obejrzeć tego policjanta!

Trzej panowie pobiegli co tchu na zastłoniętą już scenę, a po drodze roztrącili Kolombinę i błazna, bardzo zajętych poufną rozmową. Ksiądz Brown pochylił się nad rozciągniętą na posadzce komiczną figurą w mundurze policjanta.

— Chloroform – rzekł, prostując się żwawo. – Że też dopiero teraz rozjaśniło mi się w głowie!

Na moment zapadła cisza wielkiego zdziwienia. Wreszcie pułkownik zapytał:

— Co to wszystko znaczy? Proszę mówić serio!

Ksiądz Brown wybuchnął śmiechem i chociaż go zdławił, parsknął raz po raz, wyjaśniając sytuację.

— Panowie! – mówił. – Nie ma czasu na gawędy. Muszę łapać złodzieja... Ale ten słynny francuski aktor w roli policjanta... to bezwładne ciało, które arlekin rzucał... podnosił... obracał... to... to jest... – głos odmówił mu posłuszeństwa i duchowny znów odwrócił się gwałtownie w stronę drzwi.

— To jest? – podchwycił sir Leopold Fischer natarczywie pytającym tonem.

— Prawdziwy policjant! – dokończył ksiądz Brown i wybiegł do ogrodu.

W głębi rozległego ogrodu były cieniste zakątki i gęste kępy, gdzie na tle szafirowego nieba i opalowej pełni, laury i inne wiecznie zielone krzewy grały ciepłymi barwami południa nawet wśród chłodu zimy. Soczysta zieleń liści, różowawe mroki nocy, księżyc zawieszony na niebie niby olbrzymi kryształ, wszystko to tworzyło obraz aż niedorzecznie romantyczny. A po najwyższych konarach drzew pięta się osobiwa zjawia, nie tyle romantyczna, ile niedorzeczna. Postać ta iskrzyła się od stóp do głów, jak gdyby odziana w milion księżyców, gdyż promienie prawdziwego księżyca chwytały każdy jej ruch i zapalały błyski cal po calu. Niebawem srebrna smuga przeskoczyła zgrabnie z niższego drzewa po tej stronie na obwisłą gałąź wyższego drzewa po przeciwnej stronie muru, a zatrzymała się tylko dlatego, że czarny cień zamajaczył pod owym niższym drzewem i zawołał donośnie:

— Hej, Flambeau! Błyszczysz naprawdę jak „Latające gwiazdy”! Pamiętaj jednak: latająca gwiazda to w ostatecznym rezultacie zawsze spadająca gwiazda.

Srebrna, połyskliwa postać pochyliła się, jak gdyby przemierzając wzrokiem laurową gęstwinę i – pewna widać ucieczki – słuchała ciekawie cienia, który przemawiał do niej z dołu:

— To najlepsza twoja robota, Flambeau! Miałeś dobry pomysł, żeby przyjechać z Kanady (pewno za paryskim biletem) akurat w tydzień po śmierci pani Adams, kiedy nikt nie miał chęci pytać o nic szczegółowo. Jeszcze dowcipniej wypatrzyłeś „Latające gwiazdy” i zorientowałeś się, którego dnia sir Leopold Fischer złoży wizytę. Ale to, co nastąpiło dalej, dowodzi już nie pomysłowości, ale geniuszu! Kradzież brylantów była dla ciebie drobnostką. Masz zręczną rękę. Mogłeś to zrobić na sto innych sposobów, nie tylko udając, że chcesz przypiąć ośli ogon do poły żakietu. Ale zresztą zaćmiłeś samego siebie!

Srebrzysta postać w górze trwała w bezruchu niby zahipnotyzowana i chociaż miała otwartą drogę ucieczki, pilnie towała uchem słowa księdza Browna.

— Tak! Rozumiem wszystko. Nie tylko sprowokowałeś pantomimę, lecz również wykorzystałeś ją w dwojakim celu. Miałeś nadzieję spokojnie kraść brylanty, lecz otrzymałeś od współnika wiadomość, że policja jest na twoim tropie, a jej funkcjonariusz ma cię zdemaskować jeszcze tego wieczoru. Pospolity złodziejasek podziękowałby za ostrzeżenie i czmychnął jak niepyszny. Ale ty, Flambeau, jesteś poetą! Ukryłeś zdobycz w tysięcznych blaskach fałszywych, scenicznych klejnotów. Miałeś wystąpić w roli Arlekina, przyszło więc ci do głowy, że twoja bójka z policjantem będzie zupełnie na miejscu. Zaczny sługa sprawiedliwości wyruszył po ciebie z komisariatu, aby wpaść w sidła, jakich dotąd nikt chyba nie zastawił. Kiedy otwartą się drzwi domu, wkroczył prosto na scenę, gdzie Arlekin mógł go tłuc, szarpać, przewracać, poniewierać przy salwach śmiechu najczcigodniejszych obywateli Putney. O, nigdy nie zdobędziesz się na nic doskonalszego! Ale tak między nami, oddaj no te kamyki, Flambeau!

Gałąź skrzypnęła cicho, jak gdyby ze zdziwieniem, a głos z dołu płynął dalej spokojnie:

— Tak, Flambeau! Chcę, żebyś rzucił mi te klejnoty i chcę, żebyś porzucił życie, jakie wiesz. Jesteś jeszcze młody. Masz

humor i swoiste poczucie honoru. Ale nie myśl, że długo zachowasz te skarby. Łatwo dostrzec górną granicę dobra, nikogo jednak nie powstrzyma dolna granica zła, bo jej w ogóle nie ma. Droga schodzi coraz niżej i niżej. Człowiek pocziwy zaczyna pić i staje się okrutnikiem. Człowiek prawdomówny zabija i musi kłamać o swojej zbrodni. Znam niejednego, który zaczął jak ty, lecz z uczciwego członka społeczeństwa, z wesołego pogromcy bogaczy stał się wnet unurzany w błocie nędznikiem. Maurice Blum – początkowo ideowy anarchista i prawdziwy ojciec ubogich – był pod koniec życia ohydny szpiegiem i donosicielem, z którego usług korzystały dwie strony i obie nim gardziły. Harry Burke zainicjował w dobrej wierze swój system wolnej cyrkulacji pieniądza, a dziś z siostry-nędzarki wydusza ostatnie szylingi na koniak albo whisky. Lord Amber z młodzieńczej fantazji popadł w złe towarzystwo, teraz zaś płaci słono, bo szantażują go najbardziej plugawie sępy Londynu. Jeszcze przed twoim urodzeniem kapitan Barillon był słynnym dżentelmenem-apaszem, ale umarł w szpitalu dla obłąkanych, wyjąc ze strachu przed kompanami i pomocnikami, którzy zdradzili go w życiu, a później nawiedzali podczas ataków furii. Wiem, Flambeau, że w zaroślach po tamtej stronie muru masz otwartą drogę, że skoczysz zwinnie, błysniesz raz jeszcze i niby mała przepadniesz bez śladu w gęstwinie. Ale pomyśl, że będziesz kiedyś starą, siwą małą. Bliski śmierci, z wystygłym sercem zasiądziesz w gęstym lesie, a wierzchołki drzew wydadzą ci się dalekie i nagie.

Wszystko trwało w bezruchu, jak gdyby stojący w dole mały człeczyna trzymał na niewidzialnej smyczy migotliwą postać w górze.

— Zacząłeś zstępować w dół, Flambeau – ciągnął ksiądz Brown. — Chętnie się, że nie popełniasz nigdy czynów niecných, a przecież dziś czyn taki chcesz popełnić. Rzucasz podejrzenie na niewinnego chłopca, przeciw któremu i tak wiele przemawia. Od-

bierasza mu kobietę kochaną i kochającą go wzajemnie. Ale nie martw się. Nim umrzesz, dokonasz rzeczy nieporównanie podlegszych!

Trzy migotliwe diamenty błysnęły w powietrzu i spadły na murawę. Ksiądz Brown schylił się, by podnieść cenny klejnot, a gdy rozprostował plecy, srebrny ptak zniknął już z zielonej klatki drzewa.

Odzyskanie brylantów (niemrawy ksiądz Brown znalazł je przypadkowo w ogrodzie) zakończyło wieczór wesoło i hucznie. Rozbawiony i zadowolony z siebie sir Leopold Fischer powiedział nawet niepozornemu duchownemu, że on wyznaje szersze poglądy, potrafi jednak szanować ludzi, którym wiara nakazuje pędzić życie za klasztorną furtą i nic nie wiedzieć o świecie.

MŁOT BOŻY

Wzgórze, na którym leży osada Bohum Beacon, jest tak strome, że wysoka kościelna wieża przypomina spiczasty wierzchołek góry. U stóp kościoła znajduje się kuźnia, często szkarłatna od ognia, zawsze zaś pełna młotów i żelaznego złomu, a jedyna w tej miejscowości oberża – „Pod Błękitnym Odyńcem” – stoi po przeciwległej stronie placu, gdzie przecinają się dwie brukowane uliczki. Na tym właśnie skrzyżowaniu w ołowianym świetle brasku spotkali się dwaj bracia i nawiązali rozmowę, chociaż jeden z nich rozpoczynał dzień, drugi zaś kończył. Wielebny i szlachetnie urodzony Wilfred Bohum był bardzo pobożny i właśnie szedł do kościoła, aby wczesne godziny ranne spędzić na modłach lub pobożnym rozmyślaniu. Jego starszy brat, szlachetnie urodzony pułkownik Norman Bohum, nie był bynajmniej pobożny i w stroju wieczorowym siedział na ławce przed „Błękitnym Odyńcem”,

popijając ostatni kieliszek wtorkowy lub pierwszy środowy. Z punktu widzenia filozoficznie usposobionego obserwatora obie te definicje byłyby równie słuszne, lecz pułkownik nie zaprzętał sobie głowy definicjami.

Bohumowie należeli do jednej z bardzo niewielu rodzin arystokratycznych wywodzących się naprawdę ze średniowiecza, a ich porzecz istotnie widywał Palestynę. Ale błędem byłoby uważać takie rody za skarbnicę wspaniałych tradycji rycerskich. Tradycji nie pielęgnuje nikt prócz biedaków. Arystokracja hołduje modzie, nie tradycjom. Bohumowie byli oczywiście zabijakami w czasach królowej Anny, a lowelasami za panowania Wiktorii, lecz jak wiele prawdziwie starych rodzin, w ciągu minionych wieków stali się nałogowymi pijakami i kiepskimi dandysami, aż wreszcie poczęto szeptać o ich dziedzicznym obłądzie. Prawdę mówiąc, było coś nieludzkiego w wilczej pogoni pułkownika za rozrywką, a jego zwyczaj kładzenia się spać po wschodzie słońca graniczył z chorobliwą bezsennością. Na ogół jednak była to krzepka, rosta bestia, podstarzała już, lecz mogąca się szczyścić bujną i jasną czupryną. Gdyby nie błękitne oczy osadzone zbyt blisko i zapadłe tak głęboko, że wyglądały na czarne, Norman Bohum sprawiałby wrażenie blondyna o lwiej głowie. Miał długie, rudawe wąsy i bardzo wyraźne zmarszczki ciągnące się od nozdrzy do podbródka, dzięki czemu złośliwy uśmiech był jak gdyby wyorany na jego twarzy. Tego ranka miał na fraku dziwne jasnożółte okrycie, bardziej przypominające szlafrok niż płaszcz, na czubku jego głowy tkwił okrągły trawiastozielony kapelusz, pochodzący niewątpliwie ze zbiorów wschodnich osobliwości i chwycony na chybił trafił. Norman Bohum lubował się w podobnie fantastycznych strojach i z dumą twierdził, że jemu we wszystkim do twarzy.

Młodszy z Bohumów, pastor, był również blondynem i odznaczał się specyficzną elegancją. Miał inteligentną, nerwową, starannie wygoloną twarz i ubierał się w czarny, zapięty pod szyję

surdut. Na pozór przynajmniej żył jedynie swoją religią, niektórzy jednak (zwłaszcza kowal, zwolennik Kościoła prezbiteriańskiego) byli innego zdania. Twierdzili, że pastor kocha raczej gotycką architekturę niż Boga, a jego ustawiczne przebywanie w kościele jest tylko odmienną formą tego samego, prawie chorobliwego głodu piękna, który każe pułkownikowi uganiać się za kobietami i winem. Jednak wobec niezbitych dowodów zewnętrznej pobożności Wilfreda zarzuty te były wątpliwe, a wynikały przede wszystkim z niezrozumienia potrzeby samotności oraz z pogłosek, że modli się często nie przed ołtarzem, lecz w rozmaitych najdziwniejszych miejscach: w kryptach, na chórze, a nawet na podestach dzwonnicy.

Tego ranka pastor zamierzał wejść do kościoła przez podwórkę kuźni, zatrzymał się jednak i zmarszczył gniewnie na widok starszego brata, którego zapadnięte oczy zwracały się w tym właśnie kierunku, trudno jednak było przypisać pułkownikowi bodaj cień zainteresowania kościołem. Mógł spoglądać jedynie na kuźnię, a chociaż kowal był purytaninem i nie należał do jego parafian, Wilfred znał skandaliczne plotki o jego znanej w okolicy, urodzivej żonie. Zmierzył brata podejrzliwym wzrokiem, ten zaś wstał i ze śmiechem zagał rozmowę.

— Dzień dobry, Wilfredzie – powiedział. – Jak przystoi dobremu dziedzicowi, czuвам bezsennie nad snem moich ludzi. Idę z wizytą do kowala.

— Nie zastaniesz go w domu – odparł pastor, patrząc w ziemię. – Jest w Greenford...

— Wiem – roześmiał się Norman. – Właśnie dlatego wybieram się do niego.

Wilfred nie odrywał wzroku od zwirowanej ścieżki.

— Normanie, nie boisz się gromu z jasnego nieba? – zapytał.

— Co takiego? – obruszył się starszy brat. – Czy meteorologia jest twoim konikiem?

— Nigdy nie przyszło ci na myśl, że Bóg może cię porazić pośrodku drogi?

— Bardzo przepraszam! – syknął pułkownik. – Widzę, że twoim konikiem są ludowe zabobony.

— A twoim bluźnierstwa! – zawołał pastor, ugodzony w jedyne wrażliwe miejsce. – Nie lękasz się Boga. Niech i tak będzie. Masz jednak poważne racje, by bać się człowieka.

— Bać się człowieka? – powtórzył starszy brat tonem uprzejmego zdziwienia.

— Tak, człowieka. Kowal Barnes to największy i najsilniejszy chłop w promieniu czterdziestu mil. Nie jesteś tchórzem ani cherlakiem. Wiem o tym. Ale on łatwo przerzuci cię przez mur.

Pocisk trafił do celu, bo był prawdą. Twarz pułkownika wykrzywił niedobry grymas. Pogłębiły się bruzdy między nozdrzami a podbródkiem. Po chwili jednak Norman odzyskał właściwy mu wisielczy humor i roześmiał się, aż białe, psie kły błysnęły pod rudawymi wąsami.

— Słusznie, drogi Wilfredzie – powiedział beztrosko. – Ostatni z Bohumów wziął to pod uwagę. Wystąpił w zbroi. Przynajmniej częściowo.

Z tymi słowy zdjął dziwaczny okrągły kapelusz i pokazał, że pod zieloną materią znajduje się stal. Pastor rozpoznał lekki japoński czy chiński hełm, który obok innych trofeów zdobił starą sień rodzinnego dworu.

— Wpadł mi jakoś w rękę – wyjaśnił swobodnie starszy brat. – Zawsze biorę pierwszy z brzegu kapelusz i pierwszą z brzegu babę.

— Kowal wybrał się do Greenford. Nie wiadomo, kiedy wróci – odparł poważnie pastor i wszedł do kruchty.

Pochylił głowę i szybko zrobił znak krzyża, jak gdyby chciał odpędzić nieczystego ducha. W chłodnym cieniu swoich strzelistych gotyckich kolumn pragnął zapomnieć o ordynarnych, przy-

ziemnych sprawach. Lecz tego ranka przykre niespodzianki miały go widocznie gnębić i zakłócać raz po raz jego pobożne praktyki. Kiedy otworzył drzwi kościoła, pustego zawsze o wczesnej porze, ktoś wstał szybko z klęczek i ruszył w stronę jasno oświetlonego portyku. Wilfred Bohum zatrzymał się zdumiony, gdyż w rannym ptaszku poznał siostrzeńca kowala, wioskowego idiotę. Ten wysoki, przygarbiony, dość silnie zbudowany wyrostek, o prostych czarnych włosach, bladej, pozbawionej wyrazu twarzy i zawsze rozchylnych ustach, ani chciał, ani mógł dbać o religię czy jakiegokolwiek inne poważne kwestie. Wszyscy wołali nań Głupi Joe, bo innego nazwiska, zdaje się, nie miał. Mijając pastora miał minę równie baranią jak zwykle, niepodobna więc było odgadnąć, co właściwie myślał lub robił. Do tej pory nie modlił się nigdy. Jakie pocierze mógł odmawiać o świcie? Niewątpliwie dziwne, bardzo dziwne.

Wilfred Bohum stał niby przyrośnięty do posadzki i obserwował idiotę maszerującego skąpaną w słońcu uliczką. Widział nawet swojego wyrodnego brata, który z hałaśliwą uciechą powitał Głupiego Joe i począł rzucać w jego stronę pensami z wyraźnym zamiarem trafienia w otwarte usta.

Plugawy obraz ziemskiego okrucieństwa i głupoty ostatecznie skłonił ascetę do modłów o czyste i świeże myśli. Wilfred Bohum poszedł na chór i usadowił się w ławce przed ulubionym witrażem. Lazurowe okno z wyobrażeniem anioła niosącego pęk lilii zachwycało pastora i zawsze przywracało mu równowagę ducha. I tym razem obraz półgłówka z bezbarwną twarzą i rybimi ustami zaczął blednąć. Zaczął mniej myśleć o złym bracie, który krąży w bliskości, niby wychudły lew dręczony nienasyconym głodem. Coraz mocniej i mocniej działał urok srebrzystobiałych kwiatów i błękitnych niebios.

W pół godziny później zastał go na tym samym miejscu Gibbs, wiejski szewc, wysłany pośpiesznie na poszukiwanie. Pastor

zerwał się z ławki, bo dobrze rozumiał, że tylko sprawa niemałej wagi mogła sprowadzić do kościoła Gibbsa, który zgodnie z tradycją większości wioskowych szewców był ateistą. Jego pojawienie się w siedzibie kultu religijnego stanowiło wydarzenie jeszcze bardziej niezwykle niż poranne modły Głupiego Joe. W ogóle był to ranek pełen osobliwych zagadek teologicznych.

— O co chodzi? – pastor rzucił pytanie lodowatym głosem, lecz po kapeluszu sięgnął drżącą ręką.

Ateista milczał przez chwilę, a kiedy się odezwał, mówił niezwykłym w takich ustach tonem – pełnym szacunku i nie pozbawionym nawet szorstkiego współczucia.

— Bardzo przepraszam, panie pastorze – szepnął ochryple – ale wszyscy byli zdania, że jak najszybciej trzeba zawiadomić pana pastora. Niestety, stało się... stało się coś strasznego. Brat pana pastora...

Wilfred zacisnął wypielęgowane ręce.

— Cóż mój brat znowu zrobił?! – wybuchnął z tłumioną pasją.

— Hm... panie pastorze... – szewc chrząknął dyskretnie. – Niestety, brat pana pastora nic nie zrobił i nic już nie robi... Raczej to jego ktoś zrobił... Najlepiej będzie, jeżeli pan pastor zaraz pójdzie ze mną.

Wilfred pośpieszył za szewcem i u stóp wąskich kręconych schodów stanął w drzwiach kościoła, położonych znacznie wyżej niż uliczka. Z góry tragiczny obraz rzucał się w oczy jasno, jak wyrysowany na planie. Po podwórku przed kuźnią kręciło się kilku mężczyzn. Prawie wszyscy byli czarno ubrani. Jeden nosił mundur policyjny. Znajdował się między nimi lekarz, pastor prezbiteriański i ksiądz parafii katolickiej, do której należała żona kowala. Pani Barnes, rosta kobieta o pięknych złocistorudawych włosach, rozpaczliwie szlochała siedząc na ławce, ksiądz katolicki stał obok niej i szybko mówił coś półgłosem. Pozostałe osoby zbiły się w gromadkę w przeciwnym kącie podwórka. Pomiędzy tymi dwie-

ma grupami, opodal stosu młotów i młotków, leżał rozkrzyżowany twarzą do ziemi mężczyzna w wieczorowym stroju. Wilfred patrzył z góry, dokładnie widział wszelkie szczegóły ubrania, widział nawet sygnet Bohumów na palcu. Pod przysięgą mógłby zeznać, kogo ma przed sobą, chociaż głowa stanowiła tylko ohydny płamę podobną do kałuży czarnej posoki.

Szybko zbiegł po kilku stopniach na podwórko kuźni i nie odpowiadając na ukłon doktora, który był domowym lekarzem rodziny Bohumów, zdołał tylko wykrztusić:

- Mój brat nie żyje? Co to znaczy? Co to za potworna zagadka?
- Potworna istotnie, ale nie bardzo zagadkowa – odpowiedział po chwili szewc, najbardziej szczery wśród obecnych.
- Jak to? Nie rozumiem! – zawołał pastor, blednąc jak chusta.
- Sprawa całkiem prosta – wyjaśnił ateista. – Tylko jeden człowiek w okolicy mógł zadać taki cios i on właśnie miał powód, żeby go zadać.

– Nie wolno nic z góry przesądzać – wtrącił nerwowo doktor, wysoki jegomość z czarną brodą. – Jednak, panie pastorze, śmiało mogę potwierdzić zdanie pana Gibbsa odnośnie do ciosu. Istotnie, był to cios przerażający. Pan Gibbs twierdzi, że na takie uderzenie mógłby się zdobyć tylko jeden człowiek w naszej okolicy. Ja natomiast twierdzę, że nikt nie potrafiłby tak uderzyć.

– Jak to nikt? Nie rozumiem – szepnęła pastor, a dreszcz przesądnej grozy wstrząsnął jego szczupłymi ramionami.

– Panie pastorze – podjął lekarz zdławionym głosem – na prawdę brak mi właściwego porównania. Nie wystarczy powiedzieć, że czaszka została rozbita niby skorupka jajka. Okruchy kości ugrzęzły w ciele i w ziemi jak kule w glinianym wale. Cios zadało ramię olbrzyma. – Umilkł na moment i posępnie spojrzał znad okularów. – Wynika z tego jedna niewątpliwa korzyść. Prawie każdy będzie natychmiast oczyszczony z podejrzeń. Jeżeli pan lub ja, lub jakikolwiek normalnie zbudowany mężczyzna zostanie oskarżony,

będziemy go musieli uniewinnić, bo nie mógł popełnić tej zbrodni, podobnie jak dziecko nie mogłoby ukraść kolumny Nelsona.

— Zgadza się – wtrącił uparty szewc-ateista. – Tylko jeden człowiek mógł to zrobić i miał po temu powód. Gdzie jest kowal, Simeon Barnes?

— W... w Greenford – wyjąkał pastor.

— Może raczej we Francji? – mruknął zawzięty Gibbs.

— Ani w Greenford, ani we Francji – wtrącił spokojnie ksiądz katolicki, który w tej chwili przyłączył się do zajętej rozmową grupki. – Oto nadchodzi droga.

Przysadzisty księżuło miał okrągłą, pospolitą twarz i szczeniaste ciemne włosy, nie był więc osobistością godną szczególnej uwagi. Gdyby jednak odznaczał się urodą Apolla, i tak nikt nie przyglądałby mu się w tej chwili. Wszystkie głowy obróciły się w stronę grzbietu wzgórz i wijącej się zbieżną dróżki, którą istotnie nadchodził kowal z młotem na ramieniu. Był to kościsty olbrzym o głęboko osadzonych ponurych oczach i krótko przystryżonej ciemnej brodzie. Idąc rozmawiał spokojnie z dwoma towarzyszącymi mu ludźmi i jak na człowieka o niezbyt pogodnym usposobieniu, wydawał się w niezłym humorze.

— Jak Boga kocham! – zawołał szewc-ateista. – Ma nawet młot, którym to zrobił.

— Nie – inspektor policji, poważny jegomość o płowych wąsach, zabrał głos po raz pierwszy. – Młot, którym to zrobił, leży tam, pod kościelnym murem. Nie ruszaliśmy z miejsca zwłok ani narzędzi zbrodni.

Wszyscy obejrzeni się znowu, a ksiądz Brown postąpił kilka kroków i bez słowa począł przyglądać się owemu narzędziu zbrodni. Był to młot albo raczej młotek bardzo mały i lekki, a wyróżniał się tym, że jego żelazną głowicę plamiła krew i kępki jasnych włosów.

Krępy ksiądz milczał przez chwilę. Potem nie podnosząc oczu powiedział nieco zmienionym tonem:

— Pan Gibbs myli się twierdząc, że nie ma tu zagadki. Jest co najmniej jedna: dlaczego wyjątkowo silny mężczyzna wybrał tak mały młotek, żeby zadać tak potężny cios?

— To nie ma nic do rzeczy! – obruszył się rozgorączkowany Gibbs. – No i co teraz zrobimy z Barnesem ?

— Chyba nic – podjął ksiądz Brown. – Przecież idzie tu z własnej woli. Dobrze znam jego towarzyszy. To bardzo przyzwoici ludzie z Greenford. Na pewno wybrali się tutaj w sprawach kaplicy prezbiteriańskiej.

Tymczasem barczysty kowal okrążył węgiel kościoła i wszedł na własne podwórko, gdzie stanął zaraz jak wryty i wypuścił młot z ręki. W tej chwili zbliżył się doń inspektor, poprawny w każdym ruchu i słowie.

— Panie Barnes – przemówił – muszę zadać pytanie, czy wiadomo panu coś o wydarzeniach, które tutaj zaszły. Wolno panu nie odpowiadać. Mam nadzieję, że nic pan nie wie i potrafi pan to udowodnić. Nie mogę jednak uniknąć przewidzianej prawem formalności i aresztuję pana w imieniu króla pod zarzutem zamordowania pułkownika Normana Bohuma.

— Pewnie, że wolno ci nie odpowiadać! – krzyknął coraz bardziej podniecony szewc ateista. – Wszystkiego jeszcze trzeba dowieść. Nikt nie udowodnił nawet, że to pułkownik Bohum. Przecież głowę ma rozbitą na drzazgi!

— No, to się udowodni – powiedział lekarz stojący obok księdza Browna. – Nie mamy do czynienia z powieścią kryminalną. Byłem domowym lekarzem pułkownika, więc jego ciało znam lepiej niż on sam. Nieboszczyk miał dłonie bardzo piękne, ale charakterystyczne. Wskazujące i serdeczne palce były jednakowej długości. Stwierdzam, że to pułkownik Norman Bohum. – Spojrzał na leżącego na ziemi trupa z roztrzaskaną czaszką, a stalowe oczy kowala zwróciły się w tym samym kierunku.

— Pułkownik Bohum nie żyje? – spytał spokojnie Simeon Barnes. – W takim razie jest potępiony.

— Nic nie gadaj! Tylko nic nie gadaj! – zawołał Gibbs, dając wyraz uznania dla angielskiej procedury prawnej, gdyż jak przystało ateście, był zagorzałym legalistą.

Kowal zwrócił ku niemu skupioną twarz fanatyka.

— Dobrze wam, niedowiarki, kryć się jak lisy w norach tylko dlatego, że prawo ziemskie bierze was w obronę. Wszelako Bóg ustanowił własne prawa, o czym przekonacie się jeszcze dzisiaj – powiedział i wskazując rozciągnięte na ziemi zwłoki zapytał: – Kiedy ten pies umarł w grzechu?

— Mógłby pan wyrażać się uprzejmiej! Cóż to za język? – obruszył się lekarz.

— Język Biblii – powiedział Barnes. – Zmieńcie go, a i ja zaczął wyrażać się uprzejmiej. Kiedy on umarł?

— O szóstej rano widziałem go żywym – bąknął niewyraźnie Wilfred Bohum.

— Bóg jest miłosierny – podjął kowal. – Panie inspektorze, nie mam nic przeciwko aresztowaniu, ale nie wiem, czy pan zechce mnie aresztować. Ja chętnie wyjdę z sądu bez plamy na honorze, ale panu omyłka może pokrzyżować karierę.

Poważny inspektor pierwszy raz spojrzął na Barnes'a. Wszyscy zrobili to samo, tylko niepozorny ksiądz katolicki przypatrywał się nadal małemu młotkowi, którym zadano miazdzący cios.

— Za kuźnię stoją znani wam wszystkim dwaj solidni rzemieślnicy z Greenford – ciągnął dobitnie Simeon Barnes. – Obydwaj mogą przysiąc, że od północy do świtu, a nawet znacznie dłużej, widzieli mnie w sali zebrań naszej Misji Odrodzenia Moralnego, gdzie dla zbawienia dusz własnych i cudzych odbywaliśmy całonocne posiedzenie. To samo zezna pod przysięgą co najmniej dwudziestu mieszkańców Greenford. Gdybym był poganinem, panie inspektorze, pozwoliłbym panu swobodnie kroczyć ku ka-

tastrofie. Atoli jako dobry chrześcijanin uważam za swój obowiązek dać panu szansę ocalenia, pytam więc, czy zechce pan wysłuchać mojego alibi teraz, czy w sądzie?

— Naturalnie, panie Barnes, naturalnie – odparł zmieszany nieco inspektor. – Z przyjemnością oczyszczę pana z zarzutu niewzłocznie.

Kowal opuścił swoje podwórko śmiałym, posuwistym krokiem i wnet wrócił z przyjaciółmi, dobrze znanymi wszystkim obecnym. Jeden i drugi w kilku słowach, w które nikt nie miał ochoty wątpić, wyjaśnili sprawę, a gdy mówili, niewinność kowala zarysowała się mocno i wyraźnie jak wystrzelający w niebo kościół. Na chwilę zapanowało milczenie, bardziej przytłaczające niż jakakolwiek mowa. Wreszcie pastor zwrócił się do katolickiego księdza:

— Bardzo księdza ciekawi ten młotek – powiedział niepewnie, aby nawiązać konwersację.

— A ciekawi, ciekawi – przyznał ksiądz Brown. – Głowie się, czemu jest taki mały.

Doktor odwrócił się na pięcie.

— Do licha! – zawołał. – Słusznie! – Kto mógł wybrać mały młotek, mając pod ręką dziesięć większych? – Następnie zniżył głos i pochylił się do ucha proboszcza. – Tylko ktoś, kto nie potrafił dźwignąć większego ciężaru. Różnica pomiędzy jedną płcią a drugą nie polega na sile ducha lub odwadze. Chodzi o to, ile podniesie w rękę kobieta, ile mężczyzna. Dzielna niewiasta popętni bez skrzywienia dziesięć morderstw posługując się lekkim młotkiem. Ale ciężkim młotem nie zdoła zabić nawet karalucha.

Wilfred Bohum wpatrywał się w lekarza, jak gdyby urzeczony grozą. Ksiądz Brown przechylił głowę na bok i z uwagą słuchał interesujących wywodów. Doktor ożywiał się, ciągnąc z coraz to większym zapałem:

— Utał się idiotyczny pogląd, że kochanka żony nienawidzi tylko jedna osoba: jej mąż. Ale w dziewięciu wypadkach na dziesięć

kochanka żony nienawidzi najgoręcej sama żona. Komu wiadomo, jak wielu zniewag i oszustw padła ofiarą? O, proszę spojrzeć!

Patetycznym gestem wskazał rudowłosą kobietę na ławce. Podniosła wreszcie głowę, a tży wysychały powoli na jej urodziwej twarzy. Wzrokiem przywarła do leżącego na podwórku trupa. Wyrzaz jej błyszczących nieruchomych oczu graniczył z szaleństwem.

Wielebny Wilfred Bohum zatrzepotał przed sobą rękami, jak gdyby dając znać, że niczego więcej nie chce się dowiedzieć. Ksiądz Brown strzepnęła z rękawa jakiś pyłek i odezwał się spokojnym, matowym głosem:

— Jaki pan podobny do innych lekarzy... Logika nie pozostawia nic do życzenia. Jest przekonująca. Szwankuje natomiast znajomość praw fizyki. Kobieta może pragnąć śmierci współwinnego bardziej niż pokrzywdzony. Zgadzam się bez zastrzeżeń. Zgadzam się również, że kobieta sięgnie zawsze po mały młotek. Ale tym razem w grę wchodzi fizyczna niemożliwość. Nie ma pod słońcem kobiety, która mogłaby tak zgruchotać ludzki czerep. — Zamyślił się na moment i dodał refleksyjnym tonem: — Panowie nie ogarniają całości zagadnienia. Nieboszczyk miał na głowie żelazny hełm, który rozprysnął się jak szkło. Spójrzcie na tę kobietę. Spójrzcie na jej ramiona.

Znowu zapanowała cisza. Po chwili doktor mruknął pośepnie:

— Mogę się mylić. Przeciwko każdemu argumentowi istnieje kontrargument. Obstawę jednak przy zasadniczej kwestii. Tylko idiota mógł wybrać lekki młotek, mając do dyspozycji inne, cięższe.

W tej chwili Wilfred Bohum podniósł szczupłe, dygocące dłoń do skroni i wczepił palce w rzadkie jasne włosy. Potem ręce opadły mu bezwładnie.

— Mam słowo! Słowo, którego mi brakowało! — zawołał. — Pan je wymówił, doktorze! — opanował się z trudem i ciągnął spokojniejszym tonem: — Powiedział pan: „Tylko idiota mógł wybrać lekki młotek”.

— Tak – przyznał lekarz. – I co z tego?

— Co z tego? – powtórzył pastor. – I właśnie idiota tak postąpił – wszyscy spojrzeli na niego, on zaś podjął z histerycznym ożywieniem: – Jestem kapłanem... Tak, kapłanem, a kapłan nie powinien przelewać krwi bliźniego... To jest, chciałem powiedzieć, nie wolno mu wysyłać nikogo na szubienicę. Dziękuję Bogu, że w tej chwili widzę wyraźnie mordercę, bo to morderca, który nie może zawisnąć na szubienicy.

— Czy dlatego, że pastor go nie oskarżył? – zapytał doktor.

— Nie będzie powieszony, chociaż go nawet oskarżę – odparł Wilfred ze smutnym, choć dziwnie promiennym uśmiechem. – Dziś rano, gdy wszedłem do kościoła, zastałem na modlitwie tego obłąkańca, Joego, biedaka cierpiącego przez całe swe życie. Bogu tylko wiadomo, o co się modlił, ale wolno się chyba spodziewać, że pacierze takich ludzi mogą być całkiem opaczne. Szaleńca stać na odprawianie modłów przed zamordowaniem człowieka. Joe wyszedł z kościoła. Ostatni raz widziałem go z moim bratem. Brat drwił z niego. Drażnił biedaka!

— U diaska! – wybuchnął doktor. – Jest w tym coś! Ale jak pan wytłumaczy...

Wielebny Wilfred Bohum drżał z podniecenia, olśniony nagłym odkryciem prawdy.

— Nie widzi pan? Nie widzi jasno – zawołał gorączkowo – że tylko ta teoria rozwiewa wątpliwości i daje odpowiedź na obie zagadki? Chodzi o mały młotek i potężny cios. Kowal mógł zadać potężny cios, ale na pewno nie wybrałby małego młotka. Jego żona wybrałaby mały młotek, ale na pewno nie mogła uderzyć z taką siłą. A szaleniec? Szaleniec zrobił jedno i drugie. Dlaczego sięgnął po lekki młotek? Bo jako obłąkany mógł sięgnąć po wszystko. A potężny cios? Słyszał pan chyba, doktorze, że umysłowo chory w napadzie furii potrafi być silny jak dziesięciu normalnych mężczyzn.

— Do licha! – lekarz odetchnął głęboko. – Zdaje mi się, że pan trafił w sedno.

Kiedy Wilfred Bohum mówił, ksiądz Brown obserwował go bacznie i uważnie, dając dowód, że jego wielkie, szare, podobne do wołowych, oczy nie są tak pozbawione wyrazu jak reszta twarzy. Kiedy zaś nastała cisza, odezwał się tonem pełnym uszanowania:

— Pastorze Bohum, ze wszystkich wysuniętych dotychczas hipotez jedynie pańska ma ręce i nogi i jest trudna do obalenia. Wobec tego uważam za swój obowiązek poinformowanie pana, że to hipoteza błędna, o czym wiadomo mi niezawodnie.

Z tymi słowy niepokąźny księżulo odwrócił się i znowu począł gapić się na młotek.

— Facet wie bodaj więcej, niż się nam zdaje – szepnął z przekąsem lekarz do ucha pastora. – Katolicycy księża są diabelnie chytry.

— Nie... nie... – odrzekł Bohum tonem ostatecznego wyczerpania. – Zbrodniarzem jest szaleniec... Tylko szaleniec...

W czasie poprzedniej rozmowy dwaj duchowni i lekarz odsunęli się nieco od bardziej urzędowej grupki złożonej z policjanta i człowieka aresztowanego pod zarzutem morderstwa. Obecnie, gdy sami umilkli, dobrze słyszeli głosy tamtych. Ksiądz Brown podniósł wzrok i wnet spuścił znowu, gdy uszu jego dobiegł tubalny głos kowala:

— No, chyba przekonałem pana inspektora? Silny ze mnie chłop. Racja! Ale nie potrafię dorzucić młotkiem z Greenford tutaj. Mój młotek nie ma skrzydeł. Nie przeleci pół mili nad polami i łąkami.

— Nie! Nie przeleci! – inspektor roześmiał się życzliwie. – Moim zdaniem jest pan całkiem niewinny, chociaż jak żyję nie słyszałem o tak dziwnym zbiegu okoliczności. Mogę tylko prosić pana o pomoc przy znalezieniu chłopca równie wielkiego i silnego

jak pan! Na Boga! Przyda się pan, choćby po to, żeby przytrzymać winnego. No i co? Niczego się pan nie domyśla?

— Może się i domyślam – odparł Simeon Barnes – ale nie podejrzewam żadnego silnego chłopca... Ani baby – dodał, kładąc ogromną łapę na ramieniu żony, którą policjant objął podejrzanym spojrzeniem.

— Nic nie rozumiem – podjął żartobliwie inspektor. – Chyba nie powie pan, że krowa mogła użyć młotka?

— Tego młotka nie podniosła istota z krwi i ciała. Takie jest moje zdanie – odparł poważnie kowal. – Rozumując kategoriami ziemskimi, grzesznik umarł sam.

Wilfred postąpił krok naprzód i przywarł do kowala płomienym wzrokiem.

— Chcesz nam wmówić, Barnes – syknął szewc-ateista – że młotek sam pofrunął w górę i wylądował na głowie pułkownika?

— O, wolno wam, panowie, gapić się na mnie i pokpiwać – zawołał Simeon Barnes. – Wolno nawet duchownym, co w niedzielę opowiadają parafianom, jak w grobowej ciszy Pan zmiażdżył Sennacheriba. Ale ja wierzę głęboko, iż Ten, który potrafi wkroczyć do każdego domu, wystąpił w obronie mojego honoru i poraził złoczyńcę przed progiem. Wierzę głęboko, iż ciosowi młota moc dała siła nie inna niż ta, która rodzi trzęsienia ziemi.

— Sam ostrzegałem dziś Normana przed gromem z jasnego nieba – powiedział pastor dziwnie zmienionym głosem.

— Ten czynnik nie podlega mojej jurysdykcji – uśmiechnął się lekko policjant.

— Ale pan podlega Bożej jurysdykcji. Proszę o tym pamiętać – burknął kowal i odwróciwszy się na pięcie zniknął za drzwiami swojego domu.

Ksiądz Brown odprowadził na bok przygnębitego i wstrząśniętego Wilfreda.

— Pastorze – zaczął spokojnym, przyjaznym tonem – chodźmy z tego okropnego miejsca. Pozwoli pan zajrzeć do kościoła? Słyszałem, że należy on do najstarszych w Anglii. Rozumie pan – dodał z pocieszoną miną – nas, katolików, interesują stare angielskie kościoły.

Wilfred Bohum nie uśmiechnął się, gdyż był pozbawiony poczucia humoru, lecz przystał skwapliwie na propozycję księdza Browna. Był gotów objaśnić piękno gotyku komuś usposobionemu przychylniej niż kowal-purytanin lub szewc-ateista.

— Oczywiście. Bardzo proszę. Chodźmy do kościoła – powiedział i szybko wszedł na schody wiodące do bocznego wejścia.

Ksiądz Brown zdążył postawić nogę na pierwszym stopniu, gdy poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Odwrócił się i zobaczył za sobą czarną, szczupłą sylwetkę doktora i jego twarz wykrzywioną podejrzliwym grymasem.

— Za pozwoleniem – szepnął ostro lekarz. – Wydaje mi się, że zna pan tajemnicę tej ciemnej sprawy. Czy chce ją pan zachować dla siebie?

— Drogi doktorze – odparł duchowny z pogodnym uśmiechem. – Trudno się chyba dziwić, że człowiek mojego powołania chce zachować przy sobie tajemnicę, której nie jest pewien. Przecież codziennym naszym obowiązkiem jest strzeżenie tajemnic zupełnie niewątpliwych. Jeżeli jednak sądzi pan, że moje milczenie uchybia panu lub komukolwiek innemu, gotów jestem posunąć się najdalej, jak to możliwe. Dam panu dwie wyraźne wskazówki.

— Słucham – mruknął posępnie doktor.

— Po pierwsze – podjął rzeczowo ksiądz Brown – tajemnica należy do pańskiej dziedziny. Chodzi jedynie o znajomość praw fizyki. Kowal myli się nie w tym zapewne, że cios uważa za boski, lecz w tym, że przypisuje go cudowi. Cud, doktorze, działał tu tylko o tyle, o ile cudem jest sam człowiek, istota obdarzona sercem dziwacznym i grzesznym, a mimo to na poły bohaterskim. Czas-

kę pułkownika Bohuma strzaskała siła doskonale znana nauce, jedno z najpospolitszych praw natury.

— A druga wskazówka? – zapytał z posępną miną lekarz, pilnie obserwujący duchownego.

— Druga wskazówka, doktorze? Przypomina pan sobie, co mówił kowal? Wierzy wprawdzie w cud, ale z pogardą odrzuca czarnoksięską bajkę o skrzydlatym młocie, który mógłby przelecieć pół mili nad polami i łąkami.

— Tak. Przypominam sobie.

— Otóż nic z tego, co dzisiaj powiedziano, nie jest bliższe prawdy niż ta właśnie czarnoksięska bajka – rzucił ksiądz Brown z jasnym uśmiechem i odwróciwszy się wszedł szybko na schody.

We drzwiach czekał na niego wielebny Wilfred Bohum, zdenerwowany i roztrzęsiony, jak gdyby ostatnia krótką zwłoka była kroplą przepełniającą czarę jego wytrzymałości. Niezwłocznie poprowadził gościa do swojego ulubionego zakątka na chórze, gdzie pod niskim rzeźbionym sklepieniem stała ławka oświetlona blaskiem pięknego witraża z aniołem. Przysadzisty księżulo uważnie wszystko oglądał i przez cały czas mówił żywo, chociaż głosem przyciszonym. Chodził tu i ówdzie, aż wreszcie znalazł boczne wyjście z chóru i wąskie kręte schody, którymi tak niedawno pastor zbiegł, aby zobaczyć zwłoki brata. Ksiądz Brown spiesznie przekroczył próg tych drzwi, lecz zamiast pójść w dół, wspiął się zwinnie na wydeptane stopnie wiodące w górę. Po chwili jego spokojny głos odezwał się z wieży:

— Niech pan tu pozwoli, pastorate. Świeże powietrze dobrze panu zrobi.

Bohum posłuchał wezwania i wnet stanął na zewnętrznej galerii czy balkonie, skąd roztaczał się widok na bezkresną równinę upstrzoną wioskami i zagrodami i ciemny las na purpurowym widnokręgu. W dole rysował się wyraźnie mały prostokąt podwórka

kuźni, gdzie inspektor robił jakieś pomiary, a trup leżał pośrodku niby zgnieciona mucha.

— Przypomina to mapę świata, prawda? – zapytał ksiądz Brown.

— Tak – przyznał pastor i poważnie skinął głową.

Bezpośrednio u swych stóp i w zasięgu ręki widzieli linie gotyckiej budowli, spadające w próżnię ze straszliwą szybkością samobójczego skoku. Średniowieczna architektura ma w sobie dziwną tytaniczną siłę i oglądana z jakiego bądź miejsca sprawia wrażenie cwałującego w popłochu rozszalałego rumaka. Kościół w Bohum Beacon był wyciosany z sędziwego, ciemnego kamienia, brodaty od wiekowych mchów i usiany gniazdami ptactwa. Mimo to widziany z dołu sprawiał wrażenie tryskającej w niebo fontanny, z góry zaś przypominał wodospad, co toczy się w głuchą otchłań. Dwaj ludzie na strzelistej wieży znaleźli się sam na sam z przerażającą grozą gotyku. Mieli wokół siebie potworne skróty i dysproporcje, olśniewające perspektywy, obrazy wielkich rzeczy, które wydają się małe, i małych, które wydają się wielkie. Mieli wokół siebie zdumiewające powietrzne szaleństwo z kamienia. Szczegóły architektoniczne, olbrzymie dzięki bliskości, rysowały się na tle zabudowań i karłowatych pól w oddali. Rzeźbiony ptak czy zwierz na rynnach był jak gdyby ziemskim lub napowietrznym smokiem, który pustoszy okolicę ciągnącą się w dole. Cała atmosfera była niepokojąca, groźna. Zdawać się mogło, że ludzie zawisli w przestrzeni między rozpostartymi skrzydłami latającego olbrzyma, a kościół, strzelisty i wspaniały niby katedra, jest ciemną chmurą nad zalaną słonecznym blaskiem płaszczyzną.

— Wydaje mi się, że niebezpiecznie jest stawać na tak wspaniałych miejscach – powiedział ksiądz Brown – nawet dla odprawiania modłów. Szczyty są po to, by patrzeć na nie z dołu, nie po to, by z nich spoglądać w dół.

— Czy sądzi ksiądz, że człowiek może upaść? – zapytał pastor.

— Tak. Człowiek może upaść. Jeżeli nawet nie cieleśnie, to duchowo – brzmiała odpowiedź.

— Niezupełnie rozumiem – bąknął Wilfred Bohum.

— Weźmy na przykład kowala – podjął beznamyślnie ksiądz Brown. – To przyzwoity człowiek, ale bynajmniej nie chrześcijanin. Surowy, władczy, mściwy. Cóż, jego religię stworzyli ludzie, którzy modlili się na wzgórzach i skalnych urwiskach. Nauczyli się spoglądać z góry na świat, nie z dołu w niebo. Rozumie pan? Pokora jest matką olbrzymów. Człowiek widzi z doliny rzeczy wielkie, ale z górskiego szczytu tylko małe.

— Ale Barnes... Barnes nie... nie zabił mojego brata – wyjąkał pastor.

— Nie. My dwaj najlepiej wiemy, że nie on to zrobił – odparł ksiądz Brown szczególnym tonem, wodząc po równinie spojrzeniem jasnoszarych oczu. – Znałem kogoś, kto zrazu modlił się przed ołtarzem wraz z innymi, lecz po jakimś czasie polubił miejsca ustronne, wyniosłe: zakątki i wnęki na chórze lub dzwonnicy. Zdawało mu się, że tam lepiej odmawiać pacierze. Na takiej właśnie wyniosłości, z której świat zdaje się obracać jak koło, człowiekowi temu zawróciło się raz w głowie. Wyobraził sobie, że jest Bogiem, i chociaż był dobry i sprawiedliwy, popełnił straszną zbrodnię.

Wilfred Bohum miał twarz odwróconą, lecz jego ręce, kurczo-wo ściskając kamienną balustradę, pobladły i zsiniały.

— Ten człowiek myślał, że przypadło mu w udziale prawo są-
dzenia świata i karania grzeszników. Nigdy nie wpadłby na taki pomysł, gdyby klęczał pośród bliźnich na kościelnej posadzce. Ale z góry ludzie wydawali mu się mali niby owady... Jeden pełzał tuż pod nim: ohydny, natarczywy, dobrze widoczny dzięki zielonemu nakryciu głowy – niebezpieczny, jadowity owad...

Gawrony zakrakały na dachu dzwonnicy, lecz żaden inny dźwięk nie zakłócał ciszy. Wreszcie ksiądz Brown zaczął znowu mówić:

— Pokusa była silna, gdyż ów człowiek władał jedną z najgroźniejszych sił przyrody. Mam na myśli siłę ciężenia, ów szaleńczy, coraz szybszy pęd wszystkich tworów ziemi, które, puszczone swobodnie, dążą do jej serca. Proszę spojrzeć. Inspektor drepce pod nami przez podwórko kuźni. Gdybym upuścił kamyk, kamyk ten ugodziłby go z siłą kuli karabinowej. Gdybym natomiast upuścił młot... chociażby mały młotek...

Wilfred przerzucił jedną nogę przez balustradę, lecz w tej chwili ksiądz Brown chwycił go za kołnierz.

— Nie tędy, pastorze – szepnął. – To droga prosto do piekła.

Bohum cofnął się. Drżąc, stanął oparty plecami o mur. Przerażonym wzrokiem wpatrywał się w przysadzistego księdza.

— Skąd ksiądz wie o tym wszystkim? – zawołał.

— Jestem tylko człowiekiem, w piersi więc mojej mieszka tłum szatanów. Proszę posłuchać. Wiem o wszystkim, co pan zrobił, a w każdym razie domyślam się prawie wszystkiego. Rozstając się z bratem pałał pan gniewem. Był to gniew słuszny i tak namiętny, że chwycił pan mały młotek i omal nie zabił pułkownika w momencie, gdy z ust jego padały jakieś plugawe słowa. Ale pohamował się pan, wsunął młotek pod zapięty surdut i co tchu umknął do kościoła. Jak obłąkany modlił się pan w rozmaitych miejscach: pod anielskim witrażem, na podeście schodów dzwonnicy i jeszcze wyżej, na balkonie, skąd widać było wschodni kask podobny z góry do grzbietu zielonego karalucha. Wówczas coś pękło w pańskiej duszy i wyzwolił pan grom z jasnego nieba.

Pastor podniósł drżącą dłoń do czoła.

— Skąd... skąd ksiądz wie -- zapytał zdławionym szeptem – że hełm wyglądał jak zielony karaluch?

— Ach, mówi mi o tym zdrowy rozsądek – odparł ksiądz Brown z bladym uśmiechem. – Proszę posłuchać dalej. Wiem wszystko, ale nikt więcej nie musi wiedzieć. Następny krok należy do pana. Ja nic nie robię. Uważam, że obowiązuje mnie tajem-

nica spowiedzi. Jeżeli zapyta pan, dlaczego, odpowiem, iż powodów jest wiele, lecz tylko jeden dotyczy pańskiej osoby. Decyzję pozostawiam panu, gdyż na drodze zła nie posunął się pan aż tak daleko, jak mógłby się posunąć niejeden zabójca. Nie starał się pan obciążyć winą kowala ani jego żony, chociaż jedno i drugie było łatwe. Próbował pan skierować podejrzenie na obłąkanego, który oczywiście nie mógłby ponieść niezastużonej kary. Rozumie pan, pastorze, obowiązkiem moim jest dostrzeganie takich promyków światła nawet w duszach zabójców. A teraz chodźmy do wioski. Ma pan otwartą drogę, jak wiatr, bo ja wyrzekłem już ostatnie słowo.

W milczeniu schodzili krętymi schodami, aby po chwili stanąć w promieniach słońca niedaleko kuźni.

Wilfred Bohum spokojnie odsunął rygiel drewnianej furtki podwórka i zbliżając się do inspektora, powiedział:

— Oddaję się w ręce sprawiedliwości. To ja zabiłem brata.

ZŁAMANA SZABLA

Tysiące rąk lasu były szare, a miliony palców srebrzyste. Na ciemnym firmamencie – granatowozielonym niby tabliczka szyfrowa – gwiazdy połyskiwały chłodno jak rozrzucone okruszyny lodu. Gęsto zadrzewiona i skąpo zabudowana okolica drzemała w okowach siarczystego mrozu. Czarne korytarze między pniami drzew przypominały bezdenne lochy w okrutnym skandynawskim piekle – piekle wieczystej zimy. Nawet czworokątna kamienna wieża kościoła przywodziła na myśl pogaństwo dalekiej północy, jak gdyby była basztą barbarzyńców sterczącą pośród nadmorskich skał Islandii. Dziwne, że taką nocą ktoś pokusił się o zwiedzanie cmentarza, chociaż skądinąd cmentarz wart był obejrzenia.

Mieścił się na sterczącym nad popielatym lasem urwistym garbie porośniętym zieloną murawą, która pod światłem gwiazd wydawała się szara. Groby znajdowały się przeważnie na zboczu, a ścieżka wiodąca do kościoła była nie mniej stroma niż schody. Płaskie, widoczne z dala miejsce na samym szczycie wzgórza zdobił pomnik, dzięki któremu to ustronie leśne zyskało rozgłos. Pomnik ów kontrastował wyraźnie z otaczającymi go przeciętnymi nagrobkami, był bowiem dziełem jednego z największych rzeźbiarzy współczesnej Europy. Ale sławę mistrza zaćmiła bez reszty sława człowieka, którego podobiznę wyobraził. Srebrzysty odbłask, jak delikatne muśnięcie ołówkiem, rysował ciężką spiżową postać spoczywającego na wznak żołnierza z krzepkimi dłońmi złożonymi do nieskończonej modlitwy i głową wspartą na łufie działa. Dostojną twarz zdobiła broda lub raczej bujne faworyty przyszczyżone po staroświecku, na modłę pułkownika Newcome'a. Mundur, jakkolwiek odznaczający się kilkoma prostymi szczegółami, był jednak mundurem nowoczesnej wojny. Po prawej stronie marsowej postaci leżała szabla z utamanym końcem klingi, po lewej – Biblia. W słoneczne letnie popołudnia przyjeżdżały tutaj wagoniki kolejki wąskotorowej pełnej Amerykanów i kulturalnych mieszkańców przedmieść, którzy pragnęli obejrzeć grobowiec. Ale rozległe leśne pustkowia, cmentarz i górująca nad nimi samotna kopuła kościoła sprawiały nawet na tych turystach wrażenie dziwnego smutku i opuszczenia. W lodowatym mroku surowej zimy każdy czułby się w owym miejscu tak, jak gdyby został sam na sam z gwiazdami. Mimo to drewniane wrota cmentarne skrzypnęły i dwie ciemne postacie zaczęły wędrować stromą ścieżką ku słynnemu pomnikowi.

Przy świetle nikłych promyków gwiazd widać było tylko tyle, że obydwie postacie mają na sobie czarne płaszcze; jedna jest bardzo wysoka, druga zaś, jak gdyby prawem kontrastu, niezwykle niska. Nocni goście wspięli się z trudem do grobowca historycznego wo-

jownika i przez kilka minut przyglądali mu się bez słowa. W szerokim promieniu nie było ludzkiej ani w ogóle żywej istoty, toteż można by wątpić, czy te tajemnicze zjawy są ludźmi. W każdym razie początek ich rozmowy musiał wydać się dziwny. Po długiej chwili milczenia niski mężczyzna zwrócił się do towarzysza:

— Gdzie człowiek mądry ukryje kamyk?

— Na plaży – odparł wysoki stłumionym głosem.

Niski przytaknął skinieniem głowy i zapytał:

— Gdzie człowiek mądry ukryje liść?

— W lesie – brzmiała odpowiedź.

Znowu zapanowała cisza, którą przerwał głos wysokiego:

— Czy to ma znaczyć, że człowiek mądry powinien chować prawdziwe diamenty między fałszywymi?

— Nie, nie – roześmiał się niski. – Dajmy spokój dawnym sprawom. – Umilkł i dla rozgrzewki zaczął przytupywać, niebawem jednak podjął: – Wcale nie o nich myślałem, lecz o czymś zupełnie innym. Poświeć no zapałką.

Wysoki sięgnął do kieszeni. Rozległ się suchy trzask i płomyk rozjaśnił boczną płaszczyznę grobowca. Czarnymi literami były tam napisane dobrze znane słowa, odczytywane pobożnie przez bardzo licznych Amerykanów:

GENERAŁ SIR ARTUR ST. CLARE

BOHATER I MĘCZENNIK

ZAWSZE ZWYCIĘŻAŁ

I ZAWSZE SZCZĘDZIŁ NIEPRZYJACIÓŁ,

BY OSTATECZNIE Z ICH RĘKI PAŚĆ OFIARĄ

ZDRADZIECKIEGO MORDU.

OBY BÓG WSZECHMOGĄCY, KTÓREMU UFAŁ,

ZECHCIAŁ NAGRODZIĆ GO

I ZARAZEM POMŚCIĆ

Zapałka przygasła, poczerniała i spadła na ziemię. Wysoki mężczyzna sięgnął szybko po drugą, lecz towarzysz powstrzymał go, mówiąc:

— W porządku, Flambeau. Zobaczyłem, co chciałem, lub raczej nie zobaczyłem, czego nie chciałem. Teraz musimy przejść się półtorej mili i w najbliższej gospodzie spróbuję ci wszystko wyjaśnić, bo widzisz, mój stary, przy takiej opowieści człowiek powinien mieć suty ogień na kominku i kufel piwa.

Zeszli spadziłą ścieżką, zamknęli cmentarną bramę na zardzewiały rygiel i ciężkim, donośnym krokiem ruszyli wzdłuż drogi. Zdążyli przewędrować ćwierć mili, zanim niski mężczyzna odezwał się znowu.

— Tak, tak... – mruknął. – Człowiek mądry ukrywa kamyk na plaży. Ale co robi, jeżeli plaży nie ma w pobliżu? Słyszałeś coś, Flambeau, o śmierci wielkiego St. Clare’a?

Dryblas roześmiał się głośno.

— Proszę księdza – powiedział. – Słyszałem coś niecoś o angielskich policjantach, ale o angielskich generałach ani trochę. Wiem tylko, że ksiądz każe mi się włóczyć od jednego do drugiego pomnika tego faceta, ale nie wiem, co to był za jeden. Mógłbym pomyśleć, że leży w sześciu rozmaitych miejscach. W Opactwie Westminsterkim widziałem tablicę generała St. Clare’a. Na Embankment widziałem wspianą konny posąg generała St. Clare’a. Medalion ku czci generała St. Clare’a widziałem przy jakiejś ulicy, gdzie się urodził, a drugi przy innej, gdzie mieszkał. Dzisiaj przywłókt mnie ksiądz ciemną nocą do jego trumny spoczywającej na wiejskim cmentarzu. Zaczyna mnie nudzić ta znakomita osobowość, tym bardziej, że nie mam zielonego pojęcia, czym się wstawiała. Czego, u licha, ksiądz szuka?

— Tylko jednego słowa – odrzekł ksiądz Brown. – Słowa, którego nie ma na żadnym pomniku ani tablicy.

— Może mi to ksiądz jakoś wytłumaczyć?

— Całą historię trzeba podzielić na dwie części – rzekł duchowny. – Pierwszą znają wszyscy, drugą tylko ja. Ta pierwsza, znana wszystkim, jest krótka, jasna i kłamiwa.

— Rozumiem – uśmiechnął się wysoki mężczyzna, zwany Flambeau. – Zaczynamy od niewłaściwego końca, od znanej wszystkim, nieprawdziwej historii.

— Hm – podjął Brown – oficjalna wersja nie jest całkowicie nieprawdziwa, lecz bardzo niedokładna i nieściśła. Krótko mówiąc, opinia publiczna wie tylko tyle: Artur St. Clare był wybitnym angielskim generałem, któremu zawsze sprzyjało powodzenie. Po słynnych, przezornie prowadzonych kampaniach w Afryce i w Indiach objął dowództwo w Brazylii, kiedy Olivier, wielki tamtejszy patriota, wystosował swoje ultimatum. Pewnego dnia St. Clare z bardzo szczupłymi siłami uderzył na potężną armię Oliviera; mimo bohaterskiego oporu generał dostał się do niewoli i ku zgrozie i oburzeniu całego cywilizowanego świata został powieszony na najbliższym drzewie. Po wycofaniu się Brazylijczyków znaleziono jego trupa: dyndał na gałęzi a wydobytą z pochwy złamaną szablę miał uwiązaną na szyi.

— I to wszystko łgarstwo? – zapytał Flambeau.

— Nie – odparł ksiądz Brown. – W ogólnym zarysie i do tego punktu – prawda.

— Chyba ten punkt jest kropką przy końcu zdania? – obruszył się dryblas. – Jeżeli jednak wersja znana opinii publicznej jest prawdą, na czym polega zagadka?

Bez słowa minęli wiele setek szarych, widmowych drzew. Ksiądz Brown w zamyśleniu gryzł palec. Wreszcie udzielił odpowiedzi:

— Zagadka wkracza w dziedzinę psychologii albo raczej jest to splot dwóch zagadek psychologicznych. W brazylijskiej awanturze dwaj ludzie zaliczający się do najgłośniejszych postaci współczesnej historii postąpili zupełnie sprzecznie z własną naturą. Nie

zapominaj, że zarówno St. Clare, jak i Olivier byli bohaterami. To kwestia ustalona, nie podlegająca dyskusji. Walka między nimi winna przypomnieć bój Achillesa z Hektorem. Co byś powiedział o historycznym wydarzeniu, w którym Achilles okazałby się tchórzem, a Hektor zdrajcą?

— No, słucham, słucham! – rzucił niecierpliwie Flambeau, widząc, że jego towarzysz zabiera się do gryzienia palca.

— Sir Artur St. Clare był żołnierzem dawnego, chrześcijańskiego typu – ciągnął duchowny. – Oficerowie tego pokroju uratowali nas podczas buntu tubylczych wojsk w Indiach. Zawsze wyżej cenił obowiązkowość niż brawurę i mimo wielkiej osobistej odwagi był przezornym dowódcą, szczególnie dbałym o życie podwładnych, których nigdy nie narażał daremnie. Ale ostatnią bitwę prowadził w sposób widomie niedorzeczny nawet dla małego dziecka. Nie trzeba być strategiem, by dostrzec jego błędy, jak nie trzeba być strategiem, by uskoczyć z jezdni przed autobusem. Oto pierwsza zagadka: dlaczego angielski generał stracił głowę? A drugie tajemnicze pytanie brzmi: co się stało ze szlachetnym sercem Oliviera? Brazylijskiego prezydenta można uważać za fantastę, ba, nawet za maniaka. Ale nawet jego wrogowie nie odmawiają mu wspaniałomyślności godnej błędnego rycerza. Prawie zawsze jeńców puszczał na wolność, a niekiedy obsypywał ich nawet darami. Niechętni mu ludzie ulegali jego prostocie i wdziękowi. Czemu, u licha, raz w życiu miałby pomścić się szatańsko i to za cios, który nie mógł mu wyrządzić krzywdy? Rozumiesz teraz? Jeden z najrozumnniejszych ludzi pod słońcem zachował się bez powodu jak idiota. Jeden z najłagodniejszych ludzi pod słońcem zachował się bez powodu jak okrutnik. Masz wszystko wyłożone jasno jak na dłoni. Resztę zostawiam tobie, drogi chłopcze.

— Nie – odburknął posępnie Flambeau. – To ja resztę zostawiam księdzu. Proszę opowiadać dalej.

— Nieuczciwe byłoby twierdzenie, że opinia publiczna wie tak mało. Informacje jej uzupełniły dwa późniejsze wydarzenia. Nie rzuciły one nowego światła na tajemniczą sprawę, gdyż nikt z nich nic nie rozumiał – wprost przeciwnie, zaciemniły jeszcze inne kwestie. Przede wszystkim lekarz domowy St. Clare'ów pokłócił się z tą rodziną i ogłosił drukiem serię płomiennych artykułów, w których dowodził, że nieboszczyk generał cierpiał na manię religijną. Napaść spaliła jednak na panewce, gdyż powszechnie wiadano, że sir Artur hołduje purytańskim dziwactwom, a lekarz mógł przecież uważać człowieka głęboko pobożnego za ofiarę manii religijnej. Drugie wydarzenie było bardziej znamienne. W nieszczęsnym, zmarnowanym na próżno pułku, który podjął szaleńczy atak nad Czarną Rzeką, służył niejaki kapitan Keith, wówczas narzeczony, a później małżonek córki St. Clare'a. Z garstką niedobitków dostał się do niewoli, gdzie podobnie jak wszyscy inni jeńcy (z wyjątkiem samego generała) przebywał krótko i był dobrze traktowany. W dwadzieścia lat później, jako podpułkownik, Keith wydał swego rodzaju autobiografię pod tytułem: *Oficer brytyjski w Burmie i Brazylii*. W miejscu, gdzie czytelnik szuka skwapliwie wyjaśnień dotyczących zagadkowej klęski St. Clare'a, znajduje się następujący fragment: „Wszelkie inne wypadki opisuję w tej książce bez upiększeń, lecz wyczerpująco, wyznaję bowiem staroświecki pogląd, że chwała Anglii jest dość wielka, by bronić się samodzielnie. Jedyny wyjątek stanowi pogrom nad Czarną Rzeką, który pominę milczeniem ze względów osobistych, lecz uczciwych i zgodnych z żołnierskim honorem. Pragnę jednak dorzucić kilka zdań przez wzgląd na pamięć dwóch wybitnych mężów. Generała St. Clare'a oskarża się o lekkomyślność i niedołęstwo, muszę więc wyjaśnić, że bitwa nad Czarną Rzeką (jeżeli rozumieć ją właściwie) była jednym z najlepiej pomyślanych i najśmielszych czynów bojowych jego życia. Prezydentowi Olivierowi opinia publiczna zarzuca niesprawiedliwość i okrucieństwo. Broniąc honoru przeciwnika,

uważam za swój obowiązek stwierdzić, że w tym wypadku Olivier postąpił zgodnie ze swym charakterem i nie mniej szlachetnie niż zazwyczaj. Wyrażając się jaśniej, mogę zapewnić moich ziomków, że St. Clare nie był takim głupcem ani Olivier takim łotrem, na jakich z pozoru wyglądają. Tyle mam do powiedzenia i żadna siła ziemska nie skłoni mnie, bym dorzucił bodaj słowo”.

Zimny księżyc w pełni, podobny do lśniącej kuli śniegowej, zaczął tymczasem świecić przez siatkę nagich gałązek, ksiądz Brown mógł więc dopomóc pamięci i przytaczając tekst kapitana Keitha pośłużyć się zmiętą kartką zadrukowanego papieru. Kiedy składał ją i chował do kieszeni, Flambeau wyrzucił w górę ręce iście francuskim gestem.

— Momencik, proszę księdza! – zawołał żywo. – Coś mi zaczyna świtać! Jeden momencik!

Pochylił do przodu osadzoną na byczym karku głowę i sapiąc głośno ruszył wielkimi krokami, jak zawodnik bliski mety w długim marszu. Przysadzisty ksiądz Brown podążał za nim z pewnym trudem, lecz dreptał rażno, gdyż bawił się wybornie. Z prawej i z lewej strony drzewa oddalały się nagle, a droga biegła w dół przez jasną, skąpaną w blasku księżyca dolinę, aby na przeciwnym jej krańcu schronić się niby królik pod ścianą drugiego lasu. W miejscu tym rysował się mały, okrągły otwór, niby wlot odległego tunelu. Ale otwór urósł znacznie i upodobił się już do czarnej jaskini, zanim Flambeau odzyskał mowę.

— Mam! – zawołał, klepiąc się wielką łapą po udzie. – Myślałem tylko cztery minuty, a mogę opowiedzieć księdzu całą historię.

— Mów, mów! Słucham – uśmiechnął się pobłażliwie duchowny.

Francuz podniósł głowę, lecz zniżył głos:

— Generał sir Artur St. Clare pochodził z rodziny obciążonej dziedzicznie chorobą umysłową i za wszelką cenę starał się to

zataić przed córką, a nawet, w miarę możliwości, przed przyszłym zięciem. Słusznie czy błędnie, sądził, że nadchodzi tragiczne rozwiązanie, postanowił więc odebrać sobie życie. Ale zwyczajne samobójstwo rozgłosiłoby tylko zazdrośnie strzeżoną tajemnicę. Podczas kampanii brazylijskiej coraz ciemniejsze chmury przesłaniały mózg generała i wreszcie w przystępie szaleństwa biedak poświęcił obowiązki dowódcy na rzecz spraw prywatnych. Na oślep rzucił się w wir walki, mając nadzieję, że nie minie go pierwsza kula. Kiedy zobaczył, że dostał się do niewoli i zyskał jedynie niesławę, maszyna piekielna ukryta pod jego czaszką eksplodowała. Złamał szablę i powiesił się z rozpacz.

Flambeau patrzył tępo na odległą o paręset jardów szarą fasadę lasu i ciemną jamę, w której droga niknęła jak w otwartym grobie. Posępny widok wzmocnił widać wrażenie wysnutego z bujnej fantazji dramatu, gdyż wzdrygnął się i westchnął:

— Okropna historia!

— Okropna historia – powtórzył szeptem ksiądz, spuszczając głowę. – Okropna, lecz nieprawdziwa. – Nagle podniósł wzrok w niebo i krzyknął tonem rozpacz: – Mój Boże! Szkoda, że nieprawdziwa! Wielka szkoda!

Rosły Francuz odwrócił się i ze zdziwieniem spojrzął na towarzysza.

— Twoja powiastka, Flambeau – powiedział Brown, wzruszony do głębi – jest czysta, pocziwa, biała i jasna jak ten księżyc. Obłąd i rozpacz to niewinne zjawiska. Są w tej tragedii sprawy bardziej ponure.

Flambeau spojrzął z obawą na wymieniony niespodziewanie księżyc, na którego świetlistym tle naga gałąź przydrożnego drzewa rysowała się niby róg diabelski.

— Co ksiądz mówi? – zawołał, przyspieszając kroku. – Czy prawda może wyglądać jeszcze gorzej?

— Jeszcze gorzej – zabrzmiało niby echo, gdy dwaj wędrowcy wkroczyli w leśną nawę, która ciągnęła się pośród brunatnych pni jak nieskończenie długi korytarz z męczącego koszmaru.

Znajdowali się teraz w tajemniczej głębinie leśnej i pod nogami czuli zeszcłe liście, których wzrok nie dostrzegał. Milczeli przez pewien czas. Później ksiądz przemówił:

— Gdzie mądry człowiek ukryje liść? W lesie. Co jednak robi, jeżeli w pobliżu nie ma lasu?

— Nie wiem! – zawołał Flambeau tonem rozdrażnienia. – Niechże ksiądz powie! Co robi ten mądry człowiek?

— Posadzi las, żeby ukryć w nim liść – odparł Brown i dodał tajemniczo: – Grzech... Okropny grzech...

— Do licha! – zirytował się Francuz, bo ciemny las i niejasne półśłówka zaczęły działać mu na nerwy. – Opowie mi ksiądz tę historię czy nie opowie? Co ksiądz jeszcze wywęszył?

— Tu i ówdzie zdobyłem trzy dowody, a przytoczę ci je w porządku raczej logicznym niż chronologicznym. Przede wszystkim więc mamy stosunkowo jasne informacje o przebiegu i rezultacie bitwy zawarte w sprawozdaniu samego Oliviera. Prezydent z dwoma czy z trzema pułkami zajmował umocnione stanowiska na skarpie nad bagnistym brzegiem Czarnej Rzeki. Po drugiej jej stronie rozciągał się teren równie niski i bagnisty, dalej zaś wysunięty posterunek angielski obsadzał nieznaczne wzniesienie. Inne nasze oddziały rozmieszczono w tyle i w znacznej odległości. Siły angielskie jako całość miały znaczną przewagę, lecz ten jeden pułk znajdował się daleko od bazy i Olivier miał nawet zamiar sforsować rzekę, oskrzydlić go i odciąć. Ale przed zachodem słońca postanowił zostać na dotychczasowych, szczególnie korzystnych stanowiskach. O świcie zdumiał go niespodziewany widok. Garstka Anglików, zdanych na własne siły i kompletnie pozbawionych odwodów, przepравиła się nocą przez rzekę (częściowo mostem z prawej strony, częściowo brodem leżącym nieco

wyżej) i niemal w zwartym szyku zgromadziła się na błotnistym brzegu przed frontem brazylijskich stanowisk.

Olivier nie wiedział, co o tym sądzić. Nie obawiał się natarcia tak szczupłych sił, mógł więc spokojnie obserwować i zaobserwować coś zupełnie niezwykłego. Szalony pułk, który sforsował rzekę i jej wodami przeciął sobie drogę odwrotu, nie próbował przesuwać się na grunt mniej podmokły, lecz stał bez ruchu przyklejony do bagna niby mucha do lepu. Oczywiście pociski brazylijskich armat ryły w nim głębokie bruzdy, a odpowiedzią na artyleryjskie salwy był tylko zaciekły, ale wciąż słabnący ogień karabinów. Anglicy nie cofali się jednak ani nie rozpraszali, a krótkie sprawozdanie Oliviera kończą wyrazy uznania dla zbyticznej odwagi tych głupców. „Wreszcie – pisze prezydent – nasza piechota ruszyła do natarcia i zepchnęła nieprzyjaciela do rzeki. Pośród jeńców był generał St. Clare i kilku oficerów. Inni, z dowódcą pułku i jego zastępcą majorem, padli na polu chwały. Muszę przyznać, że historia zna niewiele przykładów męstwa równego zażartej walce tego niebywałego pułku. Ranni oficerowie chwyтали za karabiny poległych żołnierzy, a sam generał St. Clare z gołą głową i złamaną szablą w ręku bronił się z konia do ostatniej chwili”. Na tym koniec. Olivier, podobnie jak Keith, pomija milczeniem dalsze losy generała.

— Hm – mruknął Flambeau. – Teraz kolej na drugi dowód.

— Drugi dowód... – powtórzył książdz Brown. – Zdobycie go zajęło mi sporo czasu, ale przytoczenie potrwa niedługo. W przytułku dla starców niedaleko Lincoln znalazłem sędziwego weterana, który nie tylko został ranny nad Czarną Rzeką, ale również klęczał koło pewnego pułkownika, kiedy ów dogorywał. Był to pułkownik Clancy, tęgi, gorącokrwisty Irlandczyk; mój rozmówca odniósł wrażenie, że umierał on bardziej ze złości niż z upływu krwi. W każdym razie nie on ponosi winę za wariacki wypad. Otrzymał rozkaz od generała. Mój informator twierdzi, że ostatnie budujące słowa

rannego oficera brzmiały następująco: „A ten cholerny stary osioł szamoce się i wywija złamaną szablą. Szkoda, że jej koniec nie utkwiał mu we łbie”. Widać z tego, że nieboszczyk pułkownik Clancy spostrzegł również złamaną klingę, lecz potraktował ją z mniejszym niż inni respektem.

Leśna droga biegła teraz pod górę i ksiądz Brown przystanął na moment, żeby złapać oddech. Następnie ciągnął niezmiennym, rzeczowym tonem:

— Kilka tygodni temu wyzionął ducha w Anglii pewien brazylijski mąż stanu, który w swoim czasie poróżnił się z Olivierem i opuścił ojczyznę. Była to osobistość dosyć popularna u nas i na europejskim kontynencie: Hiszpan nazwiskiem Espado. Sam znałem nieźle tego starego dandysa o cytrynowej cerze i haczykowatym nosie. Oczywiście był katolikiem i ja dysponowałem go na śmierć. Przy tej okazji, z rozmaitych osobistych przyczyn, uzyskałem pozwolenie na wgląd w zostawione przez niego papiery. Szukałem oczywiście dokumentów wyświetlających ponurą zagadkę St. Clare’a, ale znalazłem tylko kilka zwyczajnych zeszytów zawierających dziennik jakiegoś angielskiego żołnierza. Jak sądzę, Brazylijczycy znaleźli je przy jednym z poległych. Tak czy inaczej, notatki urywają się w przeddzień niefortunnej bitwy.

Sprawozdanie z ostatniego dnia napisane ręką bezimienne go biedaka okazało się interesujące. Mam je przy sobie, lecz nie odczytam tutaj, bo jest za ciemno. Posłuchaj więc streszczenia. Początek wypełniają dowcipy odnoszące się do kogoś zwanego „Sępem”, które kursowały zapewne między żołnierzami. Jak się wydaje, ten ktoś nie był żołnierzem, ani nawet Anglikiem. Autor notatek nie nazywa go też wyraźnie nieprzyjacielem. Chodzi raczej o jakiegoś miejscowego spryciarza nie biorącego udziału w walkach. Mógł to być przewodnik lub dziennikarz. Żył dobrze ze starym pułkownikiem Clancy, częściej jednak widywano, jak rozmawiał z majorem. Widzisz, ten major Murray zajmuje dużo

miejsca w żołnierskim opowiadaniu. Szczupły, ciemnowłosy mężczyzna w średnim wieku pochodził z północnej Irlandii i był purytaninem. Czytelnik raz po raz trafia na żarty na temat surowych zasad ulsterczyka i rozwiązań obyczajów pułkownika Clancy. Ten kontrast stwarzał często pocieszne sytuacje. Napotkałem też na drwiny z jaskrawego ubioru „Sępa”.

To pogodne bajanie urywa się nagle, a kładzie mu kres coś, co można by nazwać głosem surm bojowych. Za angielskim obozem, niemal równoległe do rzeki, biegł gościniec, jeden z najważniejszych szlaków komunikacyjnych w tej części kraju. Na zachód droga skręcała ku rzece i wspomnianemu już mostowi. Na wschód zagłębiała się w puszczy, gdzie o dwie mile dalej stacjonował sąsiedni oddział brytyjski. W tamtej stronie rozległ się pod wieczór tętent i szcęk broni i ukazał się strojny oddział, jak gdyby lekkiej kawalerii, w którym nasz nieuczony kronikarz rozpoznał ze zdziwieniem generała i jego świtę. Generał dosiadał rosnącego białego wierzchowca, którego widywało się tak często w pismach ilustrowanych i na dostojnych portretach. Możesz być pewien, Flambeau, że powitanie, jakie pułk zgotował wodzowi, nie było czczą formalnością. St. Clare nie tracił też czasu na formalności, lecz zeskoczył z siodła, stanął pośród grupki oficerów i nawiązał z nimi żywą, choć poufną rozmowę. Nasz kronikarz zwrócił uwagę, że wódz gawędził najwięcej z majorem Murray, w czym zresztą nie dostrzegł nic osobliwego. Obydwaj byli pobożnymi wojakami starej daty i pilnymi czytelnikami Biblii, sympatia ich więc była rzeczą zupełnie zrozumiałą. W każdym razie generał konferował z majorem dosiadając znów konia, kiedy zaś ruszył stępa w stronę mostu, wysoki purytanin z Ulsteru szedł obok jego strzemięcia i rozmowa toczyła się dalej. Żołnierze przyglądali się tej parze, dopóki nie zniknęła za kępą drzew w miejscu, gdzie gościniec skręcał ku rzece. Wówczas pułkownik wrócił do swego namiotu, a inni na swoje posterunki. Ale autor dziennika z kilkoma kolegami został

na placu alarmowym i nim minęło kilka minut, zobaczył niezwykle widok:

Wielki biały wierzchowiec, który dopiero co odszedł spokojnym truchtem, jakim maszerował na niezliczonych paradach, ukazał się znów na drodze. Tym razem jednak galopował w stronę obozu, jak gdyby wyęczał wszystkie siły przed zakończeniem wyścigu. W pierwszej chwili mogło się zdawać, że koń ponosi, niebawem jednak nasz kronikarz spostrzegł, iż St. Clare, wytrawny jeździec, sam zmusza go do cwału. Generał nadleciał jak trąba powietrzna, zdarł wodze przed grupką zdumionych żołnierzy i zwróciwszy rozplomioną twarz w ich stronę, rozkazał, by natychmiast biegli do pułkownika. Jego głos grzmiał donośnie jak trąba na sądzie ostatecznym.

Wydaje się, że podobne do trzęsienia ziemi wydarzenia tej niespodziewanej katastrofy piętrzyły się bezładnie w wyobraźni ludzi pokroju naszego przyjaciela, po którym został dziennik. Żołnierze biegli nieprzytomnie na zbiórkę, aby jak we śnie usłyszeć, że niezwłocznie mają forsować rzekę. Generał i major natknęli się na coś groźnego w pobliżu mostu i ledwie zdążyli umknąć z życiem. Major ruszył na przełaj po odwody, należało jednak wątpić, czy mimo szybkiego alarmu posiłki zdążą w porę. W każdym razie pułk musiał odbyć przeprawę pod osłoną ciemności, a następnego dnia rano opanować szczyt na przeciwległym brzegu. Śpieszne przygotowania do romantycznego nocnego marszu kończą nagle żołnierskie zapiski.

Książd Brown wysforował się naprzód, bo wąska ścieżka leśna była coraz bardziej stroma. W ciemnościach głos jego płynął z góry, jak gdyby Flambeau wspinał się za przewodnikiem na kręcone schody.

— Widzisz, mój stary – ciągnął duchowny – pośród ostatnich zdań dziennika znalazłem coś błahego na pozór, lecz w istocie niezmiernie ważnego. Kiedy generał dodawał ducha wojsku, wy-

dobył z pochwy szablę. Słuchaj uważnie! Wydobył ją do połowy i schował, jak gdyby zawstydził się melodramatycznego gestu. Znowu ta szabla!

Wędrowcy wspinali się teraz na jasno oświetlony wierzchołek wzgórza. Blask księżyca spowijał płataninę nagich gałązek i rzucał widmową sieć cieni na wąską ścieżkę. Flambeau wyczuwał mgliście bliskość prawdy, lecz nie potrafił jej odgadnąć.

— Co ksiądz chce od tej szabli? – spytał zdumiony. – Oficerowie na ogół miewają szable, prawda?

— Opisy nowoczesnej wojny nieczęsto wymieniają białą broń – odpowiedział spokojnie duchowny. – Ale ta piekielna historia raz po raz zahacza o złamaną szablę.

— Cóż w tym dziwnego? – obruszył się Francuz. – To szczegóły nader ponętne. Jest w nim szczypta romantyzmu. Waleczny starzec kruszy w ostatniej bitwie swój wierny miecz. Pierwszy lepszy głupiec mógł odgadnąć z góry, że dziennikarze uczepią się tej szabli. Tak się też stało. A później na wszystkich grobowcach, pomnikach i tablicach przedstawiano klingę ze złamanym końcem. Chyba nie wywłókł mnie ksiądz na tę podbiegunową wyprawę tylko dlatego, że dwóch facetów o bystrym oku widziało szablę generała St. Clare’a?

— Nie! – krzyknął Brown, a jego odpowiedź zabrzmiała krótko niby wystrzał z pistoletu. – Ale kto widział niezłamaną szablę generała St. Clare’a?

— Co takiego? – zawołał Flambeau i stanął nagle w księżycowym blasku, gdyż w tej chwili przestąpił szare wrota lasu.

— Powiedziałem: kto widział niezłamaną szablę generała St. Clare’a? – powtórzył z naciskiem. – Na pewno nie autor dziennika, bo St. Clare na czas wsunął klingę do pochwy.

Francuz utkwiał wzrok w tarczy księżyca z miną niewidomego spoglądającego w słońce, a jego towarzysz wołał, zapalając się coraz bardziej:

— Flambeau! Nie mogę niczego dowieść, nawet po wielu pielgrzymkach do grobów. Ale pewien jestem swego. Jeden drobny szczegół łączy i pieczętuje wszystkie inne. Posłuchaj! Dziwnym zbiegiem okoliczności pułkownik został ranny na samym początku strzelaniny, zanim doszło do walki wręcz. A jednak widział złamaną szablę! Widział! Dlaczego została złamana? Jak? Kiedy? W każdym razie przed bitwą. Rozumiesz, przyjacielu?

— Aha – powiedział Francuz i dodał z wisielczym humorem: – A może ksiądz wie nawet, gdzie jest odłamany koniec?

— Wiem! – odparł stanowczo duchowny. – W północno-wschodnim kącie cmentarza przy protestanckiej katedrze w Belfaście.

— Doprawdy? Widział go ksiądz?

— Niestety nie – westchnął Brown ze szczerym żalem. – Stoi nad nim okazały marmurowy pomnik: grobowiec bohaterskiego majora Murraya, który okrył się chwałą w bitwie nad Czarną Rzeką i zginął śmiercią walecznych!

— Co ksiądz mówi? – zdumiał się Flambeau. – Generał St. Clare nienawidził majora Murraya i zamordował go na polu walki, ponieważ...

— Ach, Flambeau, Flambeau – przerwał mu łagodnie ksiądz Brown. – Nie opuszczają cię poczciwe, czyste myśli. Sprawa wyglądała znacznie gorzej.

— Poddaję się – odrzekł dryblas. – Wyczerpałem zapasy zła i nic gorszego wymyślić nie potrafię.

Duchowny umilkł na chwilę, jak gdyby wahał się, od czego zacząć.

— Gdzie człowiek mądry ukryje liść? – podjął wreszcie. – W lesie.

Odpowiedziało mu milczenie.

— Jeżeli nie ma w pobliżu lasu, zasadzi las. Jeżeli jednak będzie chciał schować uschnięty, martwy liść, najbardziej odpowiedzą mu las uschnięty, martwy.

Flambeau milczał nadal, ksiądz zaś ciągnął cichszym, łagodniejszym tonem:

— Jeżeli więc człowiek mądry zechce ukryć trupa, postara się o pole bitwy usłane trupami. To najstosowniejsza kryjówka.

Flambeau odwrócił się i szybko ruszył z miejsca, zobojętniały nagle na wszystkie sprawy czasu i przestrzeni. Ale jego towarzysz mówił tak beznamiętnie, jak gdyby kończył rozpoczęte zdanie:

— Jak już wspominałem, sir Artur St. Clare był pilnym czytelnikiem Biblii. To właśnie tłumaczy jego zachowanie. Mój Boże! Kiedy nareszcie ludzie rozumieją, że do niczego nie prowadzi czytanie własnej Biblii, jeżeli nie czyta się zarazem Biblii wszystkich innych ludzi. Drukarz znajduje w swojej Biblii błędy zecerskie, mormon aprobatę wielożeństwa, badacz Pisma dowód, że ludzie nie mają rąk i nóg. St. Clare był żołnierzem staroświeckiego pokroju i tego specyficznego anglohinduskiego typu. Był protestantem, zaciekłym purytaninem. Na miłość boską, Flambeau, dodaj wszystko razem, tylko nie wysnuwaj fałszywych wniosków! Oto człowiek o niespożytych siłach fizycznych pędzi życie pod tropikalnym słońcem, we wschodnim społeczeństwie i na domiar złego bez sensu i przewodnictwa tonie w księdze wykładającej wschodnią filozofię. Oczywiście St. Clare czytywał raczej Stary Testament niż Nowy. I równie oczywiście znajdował w Starym Testamencie wszystko, czego pragnął: rozpustę, ucisk, zdradę. Naturalnie, był uczciwy w utartym znaczeniu tego słowa. Ale cóż stąd za korzyść, że ktoś uczciwie i bałwochwalczo wielbi nieuczciwość?

St. Clare bywał w rozmaitych upalnych, tajemniczych krajach i wszędzie utrzymywał haremy, torturował niewygodnych świadków, grabił splugawione złoto. Niewątpliwie jednak z dumnie podniesionym czołem powiedziałby, iż robi to wszystko dla chwały Pana. Moją osobistą teologię wyraża dostatecznie jedno krótkie pytanie: jakiego pana? Otóż taki rodzaj zła otwiera jedne po drugich piekielne wrota prowadzące do mniejszych i wciąż

mniejszych komnat. Zbrodnia wyraża się tym, że jej sprawca nie staje się coraz bardziej szalony, lecz coraz bardziej nędzny. Niebawem generała poczęły osaczać trudności. Musiał dawać łapówki, zaspokajając żądania szantażystów, a na to wszystko nie starczało mu pieniędzy. Potrzebował ich więcej i więcej, toteż staczając się wciąż niżej, trafił do miejsca, które Dante nazwał ostatnim kręgiem piekieł.

— Co ksiądz ma na myśli? – zapytał Flambeau ochryłym głosem.

— To mam na myśli – odparł Brown i wskazał kałużę skutą połykającym lodem. – Pamiętasz, kogo Dante skazał w ostatnim kręgu na mękę lodu?

— Zdrajców – odparł głucho Flambeau i wstrząsnął nim dreszcz.

Pośród widmowego krajobrazu, na tle nagich, bezwstydných sylwetek drzew prawie uwierzył, że jest Dantem, a monotony głos towarzysza należy do Wergiliusza oprowadzającego go po krainie wiecznych grzechów.

— Jak ci wiadomo – ciągnął ów głos – Olivier był fantastą i nie pozwalał działać tajemnemu wywiadowi ani szpiegom. Ale te sprawy, podobnie jak wiele innych, załatwiono cichaczem, za plecami prezydenta. Prowadził je mój dobry znajomy, Espado, ten jaskrawo wystrojony błazen, któremu haczykowaty nos zyskał przezwisko „Sępa”. Udając swego rodzaju filantropa, życzliwego opiekuna żołnierzy na froncie, torował sobie drogę przez armię angielską, aż wreszcie dostał w łapy człowieka przekupnego, i to, na swoje szczęście, postawionego najwyżej. St. Clare potrzebował pieniędzy, całych stosów pieniędzy. Pozbawiony skrupułów lekarz domowy groził rewelacjami, które później częściowo opublikował. Groził, że odsłoni światu potworne, godne prehistorii sprawy, które działy się przy Park Lane, w domu Anglika i protestanta, a kojarzyły się z ofiarami ludzkimi i hordami niewolnic. Generał

potrzebował także pieniędzy na posag córki, gdyż opinią bogacza upajał się nie mniej niż samym bogactwem. Śmiało przerwał ostatnią nić: szepnął Brazylijczykowi słówko i złoto wrogów Anglii popłynęło doń strugą. Ale ktoś trzeci rozmawiał również z Sępem-Espado. Wysoki, czarnowłosy major z Ulsteru odkrył jakoś potworną tajemnicę. Krytycznego wieczoru idąc powoli w stronę rzeki Murray zażądał, aby generał niezwłocznie podał się do dymisji, w przeciwnym bowiem razie czeka go sąd polowy i rozstrzelanie. St. Clare politykował, próbował ugłaskać wroga, dopóki nie znalazł się w pobliżu mostu za firanką drzew podzwrotnikowych. Tam, przy akompaniamencie szumiącej cicho wody, pod palmami skąpanymi w blaskach słońca dobył szabli i przeszył nią majora. Niemal widzę ten obraz!

Ścieżka skręcała i biegła teraz grzbietem wzgórza. Mróz przejmował do szpiku kości, a czarne krzewy i zarośla wyglądały groźnie i niesamowicie. Ale Flambeau miał wrażenie, że w oddali dostrzega odbłask inny niż światło gwiazd czy księżycy i przywołujący na myśl ogień rozpalony ręką człowieka. Zapatrzony w tę jasność, szedł dalej i słuchał zbliżającej się do końca opowieści.

— St. Clare – ciągnął ksiądz Brown – był psem z piekła rodem, ale psem szlachetnej rasy. Gotów jestem przysiąc, że nigdy nie myślał równie jasno i nie czuł się tak silny, jak w chwili, gdy biedny Murray leżał u jego stóp. Kapitan Keith słusznie twierdzi, że ów wielki człowiek osiągnął szczyt wielkości nie w dawnych triumfach, lecz podczas ostatniej, wzgardzonej przez świat klęski. Chłodno spojrzawszy na szablę i gdy ocierał krew, zauważył, że koniec klingi został między łopatkami ofiary. Spokojnie, jak gdyby oglądał to z okna klubu, zobaczył wszystko, co musi nastąpić dalej. Żołnierze znajdą zagadkowego trupa, dobędą z niego zagadkowy kawałek stali, zauważą złamaną szablę albo brak szabli. Zabił, lecz nie uciszył wroga. Ale jego wspaniały umysł odparował ten nieoczekiwany cios. Był przecież sposób! Trup mógł stać się mniej

zagadkowy, niewidoczny pośród stosu trupów. St. Clare miał wyobraźnię i nim minęło dwadzieścia minut, ośmuset angielskich żołnierzy maszerowało na spotkanie śmierci.

Ciepła łuna za czarnym zimowym lasem gorzała coraz jaśniej i milej. Flambeau bezwiednie przyspieszył kroku, a ksiądz Brown dreptał za nim, pochłonięty bez reszty własną opowieścią.

— Garstka Anglików odznaczała się niezwykłym męstwem, a wiódł ją geniusz wojny, gdyby więc szturm na szczyt nastąpił zaraz po szaleńczym marszu, mogłoby uwieńczyć go powodzenie. Ale zły duch, co przesuwiał żołnierzy jak pionki, miał na widoku inne racje i cele. Nieszczęsny pułk musiał tkwić w bagnie koło mostu, póki brytyjskie trupy nie będą tam widokiem pospolitym. Później miała nastąpić wielka scena finałowa: siwowłósy żołnierz, bohater, niemal święty, złożył złamany oręż, aby położyć kres dalszemu rozlewowi krwi. Ach, improwizacja była obmyślana po mistrzowsku! Domyślam się wszakże... domyślam, bo nie mogę tego dowieść... że na zbroczonym krwią bagnie zrodził się w kimś wątpliwości... Ktoś zaczął podejrzewać. Głos znikąd szepce mi nawet, że zagadkę rozwikłał człowiek zakochany, który miał niebawem poślubić córkę generała.

— No, a Olivier i śmierć na stryczku? – zapytał Francuz.

— Olivier był rycerski i znał się na polityce – odparł duchowny. – Nie lubił obciążać marszu jeńcami. Prawie zawsze wypuszczał ich na wolność. Nie inaczej postąpił i wtedy.

— I wypuścił wszystkich z wyjątkiem generała – dopowiedział Flambeau.

— Wypuścił wszystkich.

— Nic dotąd nie rozumiem!

— Oto jeszcze jeden obraz, Flambeau – podjął ksiądz Brown tonem zadumy. – Widzę go, chociaż niczego nie mogę dowieść. Czasami jednak wizja znaczy więcej niż dowód. Żołnierze zwijają obóz na jałowej, pustej wyżynie. Brazylijskie mundury stoją w zwar-

tych kolumnach marszowych. Widzę długą, czarną brodę Oliviera i jego charakterystyczną czerwoną koszulę. Stojąc na pagórku, kłania się szerokoskrzydłym kapeluszem i żegna znakomitego przeciwnika – angielskiego generała o prostolinijnej naturze i głowie jak śnieg białej – ten zaś w imieniu swoim i towarzyszy broni dziękuje prezydentowi za wolność. Niedobitki Anglików stoją na baczność za swoim wodzem. Tabory brazylijskie gotują się do odjazdu. Dźwięczą werble. Brazylijskie oddziały ruszają z miejsca jedne po drugich. Anglicy stoją bez ruchu, jak posągi. Czekają, aż tylne straże nieprzyjaciół znikną za podzwrotnikowym horyzontem. Potem odmieniają się nagle, jak gdyby martwi wrócili do życia. W stronę generała zwraca się pięćdziesiąt twarzy, których niepodobna zapomnieć.

Francuz wstrząsnął się nerwowo.

— Nie twierdzi ksiądz chyba... – zawołał.

— Twierdzę! – przerwał mu Brown głębokim, drgającym ze wzruszenia głosem. – Angielska ręka założyła powróż na szyję St. Clare’a. Zapewne ta sama ręka, która niebawem miała wsunąć obrączkę na palec jego córki. Angielskie ręce powlokły go pod drzewo hańby – ręce ludzi, co uwielbiali swego wodza i szli za nim od zwycięstwa do zwycięstwa. I angielskie (Boże, zmiłuj się nad nami!) oczy zwracały się w stronę trupa dyndającego pod obcym słońcem na zielonej palmowej szubienicy. Angielskie dusze przepełnione nienawiścią i pogardą modliły się, by wisielec spadł prosto w otchłanie piekieł.

Dwaj wędrowcy minęli ostatni grzbiet wzgórza i ujrzeli przed sobą szkarłatny blask osłoniętych czerwonymi roletami okien. Stara angielska oberża stała przy drodze, jak gdyby usuwała się podróżnym z drogi i gościnnie zapraszała do trojga otwartych drzwi. Nawet z daleka słysząc było śmiech i gwar licznych głosów. Pocziwi ludzie miło spędzali wieczór.

— Dalsze wyjaśnienia są właściwie zbędne – podjął ksiądz Brown. – Żołnierze osądzili generała na pustkowiu i wyrok wykonali.

Następnie przez wzgląd na honor Anglii i córki straconego zobowiązali się przysięgą, że wieczne milczenie pokryje haniebną trzosię sprzedawczyka i złamaną szablę mordercy. Może nawet Bóg miłosierny pozwolił im zapomnieć o tym wydarzeniu. My w każdym razie musimy o nim pamiętać. Oto gospoda.

— Z największą chęcią... – zaczął Francuz, przestępując próg jasno oświetlonego i gwarne go baru. Nagle cofnął się i omal nie upadł na drogę.

— Niech ksiądz spojrzysz! – zawołał. – Do stu tysięcy diabłów! Niech ksiądz spojrzysz!

Wskazał ręką drewniany, prostokątny szyld, wiszący na przydrożnym słupie. W półmroku widać było nieudolny wizerunek szabli o krótkiej klindze, niżej zaś napis staroświeckimi gotyckimi literami: „Zajazd pod Złamaną Szablą”.

— Dziwisz się? – powiedział duchowny. – St. Clare to bożyszczce całego kraju. Połowa hoteli, parków, ulic nosi jego nazwisko lub nazwy związane jakoś z jego legendą.

— Myślałem, że skończyliśmy z tym trędowatym! – zawołał Flambeau i splunął na środek drogi.

— W Anglii, mój przyjacielu, nie skończysz z nim, póki trwa spisz i kamień poddaje się dłutu. Przez wieki marmurowe posągi bohatera będą podnosić na duchu dumnych, łatwowiernych chłopców. Jego grobowiec na wiejskim cmentarzu będzie pachniał patriotyzmem niby liliami. Miliony, co nie znały go nigdy, będą kochać jak ojca człowieka, którego garstka ostatnich podkomendnych potraktowała gorzej niż gnój. Zostanie świętym i nikt nie usłyszy o nim prawdy, bo ja zdecydowałem się milczeć. Wyjawienie tajemnicy może uczynić tyle samo zła co dobra, wystawiłem więc na próbę moje zamierzenia. Wszystkie gazety z owych czasów zginęły. Antybrzylijska nagonka minęła. Oliviera otacza powszechny szacunek. Powiedziałem sobie jednak, iż przemówię, jeżeli gdziekolwiek na brązie lub kamieniu nie mniej trwałym niż

piramidy znajdę znieśławione imię pułkownika Clancy, kapitana Keitha, prezydenta Oliviera lub kogokolwiek niewinnego. Zachowam natomiast milczenie, jeżeli zobaczę tylko niezasłużone pochwały pod adresem St. Clare'a. Dziś przekonałem się ostatecznie i będę milczał.

Wnętrze baru o czerwonych zasłonach było nie tylko przytulne, lecz również urządzone bogato. Pośrodku stał na stole srebrny model grobowca St. Clare'a. Srebrna głowa spoczywała na działowej lufie. Srebrna szabla była złamana. Na ścianach wisały kolorowe fotografie wiejskiego cmentarza i wagoników, co wożą tam turystów.

Książd Brown i Flambeau usiedli na wygodnej wyściełanej ławie.

— Zimno – odezwał się duchowny. – Nie zaszkodzi piwo albo wino.

— Nawet koniak – dodał rzeczowo Francuz.